

# DZIS I JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 24 lutego 1952 r.

Nr 8 (326)

Rudolf BUCHAŁA

# SPRAWA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO USTROJU SPOŁECZNEGO

KIEDY stwierdziliśmy, że w połowie XX wieku mamy do wyboru dwa ustroje społeczno-gospodarcze nie wywodzące się z katolickiej myśli społecznej, tj. socjalistyczny i kapitalistyczny i że wybieramy pierwszy z nich — padło zastrzeżenie: czy chrześcijanin musi koniecznie wybrać ustroj chrześcijański? Czy, jeżeli już dzisiaj faktycznie nie widzimy w świecie ustroju chrześcijańskiego, nie najwyższy czas dać własny chrześcijański wzorzec ustrojowy? W zastrzeżeniu tym dotknięto problemu bardzo istotnego i bardzo spornego, a mianowicie: w jakim sensie można w ogóle mówić o chrześcijańskim ustroju społeczno-gospodarczym?

### DWA PORZĄDKI

CHRZEŚCIJAŃSTWO jest religią: jego istotą więc jest związek duszy człowieka z Bogiem. Zawiąza ono moralność obowiązującą jego wyznawców we wszystkich przejawach życia doczesnego. Sferą specyficzną chrześcijaństwa jest jednak porządek nadprzyrodzony różniący się od porządku przyrodzonego swoim celem, który stanowi zbawienie duszy każdego człowieka. Chrześcijaństwo nie jest zatem zbiorem pozytywnych przepisów wskazujących metody, techniki układania stosunków międzyludzkich czyli tworzenia ustroju społeczno-gospodarczego. Słusznie mówi Emanuel Mounier: „Zadaniem Kościoła nie jest ani porządek społeczny, ani rozdawnictwo dóbr, ani jak największe szczęście jak największej szerszej wspólnoty życia w Chrystusie. (Podkr. R. B.). Mając za zadanie podtrzymanie takiego życia, udostępniła go każdemu przychodzącemu na świat, uzupełniała go, aby się dokonało w Ciele Chrystusa... Nie jest Kościół sam z siebie ani profesorem filozofii, ani żandarmem obywateli, ani stróżem społeczeństwa, ani szafarzem dóbr, ani opiekunem kultury, ani ośrodkiem działalności. Jeszcze mniej mocarstwem albo akademią...”. To samo wyrażają językiem teologicznym słowa encykliki „Immortale Dei”: „Cokolwiek jest w życiu ludzkim świętego, cokolwiek odnosi się do zbawienia duszy i służby Bożej obojętnie, czy samo przez się, czy też ze względu na związek z tymi sprawami — wszystko to podlega władzy i sądowi Kościoła; wszystko inne natomiast, co obchodzi dziedziczną społeczność i polityczną służbę świecką”.

Istotnie bowiem sferą specyficzną zagadnień ustrojowych jest porządek przyrodzony, którego celem jest dobro wspólne społeczności ziemskiej, tj. optymalne wa-

runki życia materialnego i kulturalnego wszystkich ludzi. Problem ustroju społeczno-gospodarczego jest więc problemem technicznym takiego ułożenia stosunków między ludźmi, który by dał jak najlepsze możliwości realizacji tego celu. Nie oznacza to oczywiście zupełnej niezależności tej dziedziny od nakazów etyki chrześcijańskiej. Chociaż bowiem sprawy ustroju należą do zakresu, w którym drogę wytycza prawo natury i „światło rzeczywistości” — nakazy moralności są tym ostrzegawczym znakiem wskazującym na pojawienie się ratio peccati — przyczynę grzechu, a więc zła grożącego zbawieniu duszy, stanowiąc dla chrześcijanina nieprzekraczalną granicę w poszukiwaniu rozwiązań problemów społecznych zgodnie z wymogami rzeczywistości. Cytowane słowa Leona XIII wyraźnie na to wskazują, a wynikają z nauki Chrystusa, który dał nam drogę zdobycia Królestwa Niebieskiego, określili do kiadnie, co czynić należy z awsz e i w s z e d z i e, aby zbawić duszę i dojść do oglądania Boga twarzą w twarz, który jednak nigdzie nie podawał wskazań jak należy z awsz e i w s z e d z i e urządzić współżycie w społeczności ziemskiej. Bowiem Chrystus przyszedł odkupić człowieka, ofiarował się za zbawienie każdej poszczególnej duszy, której wartość jest nieskończenie większa niż całego stworzenia. Nie chcąc aby mieszano niezmienność spraw Królestwa Niebieskiego z konieczną zmiennością królestwa ziemskiego powiedział: „Oddajcie cesarzowi co cesarskie, a Bogu co boskie”. A kiedy żydzi, mimo wszystko, nie potrafili pojąć właściwego sensu Jego słów i czynów i po cudownym rozmnożeniu chleba chcieli obwołać Go swoim królem, ale królem ziemskim, który zawsze dostarczałby im chleba ziemskiego „oddalił się znowu sam jeden na górę” (św. Jan, VI, 15). Słowa Emanuela Mouniera mogące się na pierwszy rzut oka wydawać paradoksem, stają się oczywiste: „...Pojęcie świeckości państwa i społeczeństwa jest pojęciem chrześcijańskim...”. Albowiem „Kościół wyznaczył sam sobie granice, których się trzymał w doktrynie o wiele ściślej, niż to w praktyce czynili duchowni. Wbrew teom cesarzo-papizmu Kościół twierdził, że społeczeństwo cywilne i jego władze, rozum i jego moce posiadają przyrodzoną autonomię własnego zakresu”.

### „UWIECZNIANIE” DOCZESNOŚCI I „NATURALIZACJA” NADPRZYRODZONOŚCI

TO rozróżnienie porządków i spraw im właściwych nie oznacza oczywiście ich przeciwsta-

wienia. Zapobiega natomiast ich pomieszaniu — a tu niebezpieczeństwo jest wielkie, wskazuje na nie Mounier: „Prawdą pozostaje, że cały świat chrześcijański jest dziś we Francji (a stwierdzenie to można niewątpliwie odnieść do świata chrześcijańskiego poza Francją! — uw. moja) hamowany bardziej pomieszaniem pojęć niż zbytnią skłonnością do ich zróżnicowania”.

Przypatrzmy się pomieszaniu jakie wywołuje beztróskie zestawianie pojęć „chrześcijański” i „ustroj społeczny”. Kiedy mówimy o chrześcijańskim ustroju społecznym skłonni jesteśmy traktować go tak jak religię chrześcijańską, jako nieprzemijalny i doskonały, ważny dla wszystkich czasów. Wszelkie wysiłki zaś zmierzające do zmiany takiego ustroju, jeżeli instytucje jego nie odpowiadają już rzeczywistości domagającej się nowych rozwiązań, traktowane są jako walka z chrześcijaństwem, z religią. Sprawa nabiera szczególnie groźnego oblicza, gdy ustroje najmniej uprawnione do zmiany, a więc ustroje „chrześcijański”, uzurpują sobie słowo tak wielkiej wagi dla obłudnego zamaskowania niesprawiedliwości społecznej podając siebie za obrońcę chrześcijańskiego porządku rzeczy, chrześcijańskiej kultury i cywilizacji. Muśmy sobie zdać jasno sprawę z tego, że chrześcijaństwo, katolicyzm jest czymś, co korzeniami swoimi tkwi w nadprzyrodzoneści, co z natury swojej jest więc niezmiennie, ponadczasowe. Ustroj zaś, choćby najbardziej zgodny z nakazami moralności chrześcijańskiej, jest zakorzeniony w doczesności, jest zatem z natury swej przemijający, zmienny, zależny od rozwoju warunków ekonomicznych, techniki itd. Identyfikowanie więc, świadome czy nieświadome, interesów i celów chrześcijaństwa, katolicyzmu z interesami i celami ustroju społecznego nazwanego chrześcijańskim — to swoisty proces „naturalizacji” nadprzyrodzoneści, to typowy objaw „traktowania katolicyzmu tak jak gdyby był społecznością ziemską” — jak to trafnie określa Jakub Maritain. Pokusa nadania ustrojowi — zjawisku z natury zmiennemu — cech niezmienności, z drugiej strony pokusa wręcz przeciwna, stawiania znaku równania między określonym ustrojem czy określoną cywilizacją a chrześcijaństwem i katolicyzmem — oto jeden niebezpieczny objaw zestawiania pojęć „chrześcijański” i „ustroj społeczny”.

W przeszłości mieliśmy już jeden taki „chrześcijański ustroj”. Stosownie do ówczesnych pojęć nie mówiono o chrześcijańskim ustroju, a o „chrześcijańskim władcy”. Nie zmienia to jednak me-

ritum sprawy. Za takiego uważał się spadkobierca nowonarodzonego militarysty pruskiego Fryderyk Wilhelm II. Za monarchę katolickiego poczytywał siebie Józef II austriacki, twórca prądu zwanego józefinizmem, będącego austriacką siostrą gallikanizmu. Wcielaniem ideału władcy katolickiego chciał być Ludwik XIV, którego dragoni prześladowali i zabijali hugenotów. Arcykatolicki Filip II hiszpański oczekiwał zwycięstwa swojej niezwykłej Armady nad heretycką Anglią jako czegoś, co się jemu, obrońcy katolicyzmu, samo przez się należy. Tymczasem: „mały powiew wiatru i cała flota znalazła się na dnie morza. Bóg sam dał odpowiedź” (J. Maritain). Hiszpania dziś znowu jest jaskrawym, a jakże bolesnym, przykładem tego, czego właśnie być nie powinno. „Czyż może być tragiczniejsze nieporozumienie niż krzyż na wrotach obozu koncentracyjnego?” — pisał kiedyś Janusz Zabłocki w artykule o reżimie gen. Franco. Istotnie bowiem wrogów reżimu frankistowskiego uważa się tam za wrogów katolicyzmu. Konkluzja, jaką wyciąga Zabłocki we wspomnianym artykule, jest wstrząsająca, co prawdziwa: „Katolicyzm za Piłsudskiego uważa się tam za wrogów katolicyzmu. Konkluzja, jaką wyciąga Zabłocki we wspomnianym artykule, jest wstrząsająca, co prawdziwa: „Katolicyzm za Piłsudskiego uważa się tam za wrogów katolicyzmu. Choć zbył przerażająca rzeczywistość Hiszpanii frankistowskiej spowodowała, iż maleje zaufanie do „chrześcijańkości” czy „katolicyzmu” panującego tam ustroju, to jednak mniejszy braciśzek gen. Franco — portugalski Salazar posiada jeszcze pewną ilość entuzjastów wśród nieświadomych katolików. Co należy sądzić o ustroju we współczesnej Portugalii mówi Maritain: „Jest faktem zmiennym... że w porządku politycznym... reżim panujący w Portugalii jest przykładem, którego nie należy naśladować (systematyczna dyktatura, będąca przyjaciółką reżimu hiszpańskiego, sprzymierzeńca faszyzmu i nazizmu, stanowi idealnego robaczka na wędcę międzynarodowego totalitaryzmu wabiącego umysły pozbawione doświadczenia politycznego)”. Oto kilka konkretnych przykładów ilustrujących, do jakich absurdów może doprowadzić beztróskie mieszanie pojęć „chrześcijański” i „ustroj społeczny”.

TERAZ przypatrzmy się konsekwencjom „uwieczniania” jednego ustroju. Jeżeli katolicyzm, nie rozróżniającym katolicyzmu od jakiegokolwiek ustroju, uda się wytworzyć opinię, że tylko taki właśnie, a nie inny ustroj jest prawdziwie katolicki, to trudno się potem dziwić niekatolikom, jeżeli skłonni są uważać katolicyzm za pewną określoną doktrynę społeczno-polityczną. Racje bowiem przemawiające za tym ustrojem na danym e-

W NUMERZE m. in.:

Z OKAZJI 142 ROCZNICY  
URODZIN FRYDERYKA CHOPINA  
ZAMIESZCZYMY:

JANINA SIWKOWSKA —  
Chopin w Dusznikach

JÓZEF KOBYLAŃSKI — Sienkiewicz i Zapolska o Chopinie

BRONISŁAW E. SYDOW —  
Nowe chopiniana

taple rozwoju się wyczerpały i sprawy społeczno-gospodarcze wymagają innych urządzeń — katolicy zaś, nie licząc się z potrzebami rzeczywistości, ale co gorsze, nie licząc się również z istotnymi potrzebami katolicyzmu obstawiają przy formie ustrojowej, która stała się anachronizmem. Znamienne jest pod tym względem wydarzenie, które miało miejsce we Francji w początkach III Republiki. W tym czasie większość katolików była zwolennikami monarchii i przeważnie swoje pronarzędnicze stanowisko popierała argumentem według schematu „monarchista bo katolik” — co stawało się nadużyciem katolicyzmu. Wyjaśnił to Leon XIII w encyklice „Immortale Dei”. Wobec przytoczonego schematu argumentacji trudno się potem dziwić wystąpieniu jednego z posłów republikańskich, który oświadczył w parlamencie: „Albo republika będzie antykatolicka — albo jej nie będzie”. Wówczas pewna grupa młodych katolików trawiona niepokojem o misję Kościoła we wszystkich czasach, dostrzegając niebezpieczeństwo grożące ze strony tego pomieszania pojęć, podjęła się odpowiedzialnego wysiłku współtworzenia warunków dla działalności Kościoła w nowych warunkach. Popadła jednak w tę samą skrajność, którą zgrzeszył monarchiści. Przyjęła bowiem schemat argumentacji „demokrata bo katolik”. Kiedy zaś dla partii swego stanowiska sięgnęła do argumentacji zacierpniętej wprost z dogmatu o Bogu Trójjedynym — musiała się doczekać potępienia. Wydarzenie to znane jest jako tragiczny dzień „Sillo-nu”.

Wśród samych katolików zaś takie tezy o wyłącznej słuszności własnego stanowiska w sprawach społeczno-gospodarczych, jako stanowiska jedynie możliwego dla „prawdziwego” katolika — prowadzą do podejrzewania katolików mających na te sprawy inny pogląd o zdradzie katolicyzmu czy też o herezję. Tak więc „monarchiści bo katolicy” uważają „demokratów bo katolików” za „złych katolików” i na odwrót. Jednolitość w poglądach społecznych, gospodarczych, politycznych, w ogóle ustrojowych, mająca być czynnikiem spajającym i umacniającym katolików, okazuje się wręcz czynnikiem wprowadzającym rozkład, tym groźniejszym, że rzutuje rozbieżności ze sfery przyrodzonej, gdzie katolikowi wolno różnić się od katolika, na sferę nadprzyrodzoną, gdzie różnić między katolikiem a katolikiem być nie może. Dochodzimy więc znow do mogącej się wydawać paradoksem tezy, że nie różnorodność w posta-

(Dokończenie na str. 2)



## Porozmawiamy...

Panie Leonie!

Mimo tego, że się Pan na samym początku swego listu zarzeka — „Z Waszym piśmie poznałem się dopiero od roku, nie jestem nawet regularnym jego czytelnikiem” — ma Pan w zasadzie rację. Pisze Pan: „Dotąd spotykałem się z powszechnie przyjętym podziałem — katolicy i protestanci, katolicy i niewierzący. Tymczasem zauważyłem u was zupełnie inną tendencję podziału na ludzi o poglądach postępowych i konserwatywnych, wstecznych. Zasada tego podziału mnie zastanawia, ale ogólnie skłonny jestem wam przyznać rację, że w dzisiejszych czasach taki podział jest słuszny”.

Podział społeczny na ludzi postępowych i ludzi wstecznych wydaje nam się jak najbardziej oczywisty. Tak jak i Panu. Pyta się nas Pan jednak — jak odróżnić postępowość od wsteczności, na jakich konkretnych kryteriach opiera się ten podział?

Pytanie bardzo istotne i jesteśmy Panu wdzięczni za postawienie go. Pisaliśmy o nim wprawdzie wielokrotnie w różnych artykułach w „Dziś i jutro” (możemy je Panu wskazać). Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że problem jest w zasadzie dla wielu katolików nowy i że trzeba dokładnie precyzować zachodzące tu linie podziału.

Najogólniej rzecz ujmując można powiedzieć, że postępowość, to naturalnie tkwiąca w człowieku cecha do dążenia ku *l e p s z e m u*. Istnieje na dnie duszy każdego człowieka tęsknota za *d o b r e m*, nie tylko za dobrem najwyższym, nadprzyrodzonym, za Bogiem, ale także za czymś innym, w zasięgu każdego z nas, za czynieniem życia lepszym, szczęśliwszym, za sprawiedliwymi stosunkami między ludźmi, za wyższym poziomem kultury i oświaty, za doskonalszymi osiągnięciami techniki i sztuki, za wyższym poziomem formy fizycznej i psychicznej człowieka. Osiągnięcie tego stanu *l e p s z e g o* wiąże się jednak z koniecznością dokonywania całego szeregu przemian i reform nie tylko w sferze społecznej. *l e p s z e* bowiem polega na tym, by wszystkim było lepiej, by wokół nas życie stawało się również szczęśliwsze.

Ta naturalna skłonność do postępowości napotyka się więc natychmiast na przeciwdziałanie skłonności egoistycznych tkwiących także w człowieku. Każdy chce *n a j p i e r w* lepszego dla siebie. Ten, który podstępem własnego egoizmu ulegnie, stać się wrogiem postępu. Z tą chwilą oowem dąży do tego, by kosztem swego otoczenia zdobywać dla siebie wszystko, co najlepsze, a w rezultacie opierać się będzie wszelkim ulepszeniom życia, które by nie miały jemu bezpośrednio służyć.

Taka jest motywacja moralna postępowości i wsteczności ludzkiego. Rzecz prosta, jej konsekwencje społeczne są najbardziej daleko idące. Egoizm osobisty zamienia się w egoizm klas uprzywilejowanych, egoizm klas — w imperialistyczną drapieżność, w zachłanność kapitalistów, walczących o największe dochody, w chciwość kolonialistów, współczesnych handlarzy niewolnikami.

Konserwatyzm, to słowo niewinne brzmiące, Panie Leonie. Widzimy w wyobraźni starszego pana, o kulturalnych manierach, który z melancholią mówi: o czasach Królowej Wiktorii, lub o pięknym „Widniu” Franc-Józefa. To są pozory. Jest niewątpliwie wielu ludzi, którzy holdują konserwatywnym poglądom, bo je odziedziczyli jako spuściznę swego środowiska. Nie rozumieją całej wymowy tej orientacji społecznej, świat widzą tylko przez pryzmat swej osobistej oceny tego, co im się wydało przyjemne.

Rzeczywistość jest inna. Konserwatysta wzdycha: jaki piękny był Paryż. Ale nie myśli o tym, że piękno Paryża wyrosło na nędzy robotników na zdławionym bunce tkaczy Lyonskich, na nieszczęściu Komuny, wreszcie na bezwzględnej eksploatacji podbitych kolonii afrykańskich. Nie wie nawet o tym, że Hausman przebijal wspaniałe perspektywy „boulevard” nie tylko po to, by zachwycali turystów, lecz po to, także, by zepchnąć osiedla robotnicze na przedmieścia, a wojsku i policji ułatwić panowanie nad miastem.

Konserwatysta wzdycha „stara, szczęśliwa Anglia”, ale nie chce nic wiedzieć, ani o tym jak zapobiegliwi Anglicy zwozili z całego świata zrabowane skarby, jak gięły się pod batem plecy Murzynów, Hindusów, Malajczyków, by już nie mówić o „slumsach”, zgnilych ruderach na przedmieściach Londynu, gdzie krzewi się zbrodnia, alkoholizm, zwyrodnienie — po prostu — nędza.

Konserwatysta nie widzi dziś ani istotnej treści walki proletariatu, antytragicznych losów narodów kolorowych, nie rozumie wymowy nazwisk różnych kolorowych marionetek, koronowanych, czy tytułowanych, dla których określenie „Targowica” byłoby komplementem. Nie rozumie w ogóle po co troszczyć się o losy świata, o sprawiedliwość społeczną, o awans proletariatu, o wyzwolenie narodów kolonialnych. Po co, jeśli to kosztuje, jeśli trzeba płacić osobistymi wyrzeczeniami?

Dlatego kładziemy nacisk na podział — obóz postępu a obóz wsteczności. Wiemy, że problemy nie są proste, że postęp nie jest jednoznacznie rozumiany przez wszystkich, że inne orientacje, światopoglądy inne mu stawiają wytyczne. Wiemy, że wśród konserwatystów są ludzie, którzy subiektywnie są uczciwi, którzy mechanizmu swego obozu nie znają i nie rozumieją. Najdalej jesteśmy od chęci potępienia ich w czambuł. Przeciwnie, chcemy rozróżnić choćby po to, by wydobywać z tamtego potępionego świata i zjednywać umysły i serca wartościowe dla sprawy słusznej.

Ale właśnie dlatego trzeba bezkompromisowo demaskować wsteczność. Dlatego trzeba wskazywać palcem na te środowiska, na te kierunki, które wśród katolików szerzą postawę konserwatywną. Dlatego trzeba umieć współpracować z tymi, którzy chcą walczyć o postęp, choćbyśmy się różnili w wielu sprawach.

Myślę, Panie Leonie, sądząc z Pańskiego listu, że się na tej drodze będziemy spotykać.

W. K.

# SPRAWA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO USTROJU SPOŁECZNEGO

(Dokończenie ze str. 1)

wie społeczno-gospodarczej i politycznej, ale właśnie jednolitość tej postawy szkodził ponadczasowym i niezmiennym, nadprzyrodzonym prawdom i wartościom katolicyzmu.

## DOBRO WSPÓLNE I SPRAWA KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO

**S**TARALIŚMY się przedstawić, jak nierozróżnianie spraw właściwych porządkowi nadprzyrodzonemu i wręcz ich pomieszanie prowadzi przy szczegółowym problemie chrześcijańskiego ustroju społecznego do błędnego rozumienia katolicyzmu, względnie szerzej rzecz ujmując, chrześcijaństwa. Teraz chcemy wskazać na ujemne skutki, jakie płyną dla samego urządzenia stosunków międzyludzkich z powierzchownego pojmowania treści chrześcijańskiego ustroju społecznego.

Celem społeczności doczesnej jest dobro wspólne, czyli jak wspomniano, optymalne warunki życia materialnego i kulturalnego wszystkich ludzi na ziemi. Do współpracy nad urzeczywistnieniem tego celu są zatem z natury rzeczy powołani ci wszyscy, którzy zgodnie z wnioskami praktycznymi światopoglądu stawiają za zadanie jak najlepsze urządzenie warunków bytowania człowieka. W tym sensie można mówić, że wspólne dobro społeczności ziemskiej powinno stać się dziełem wszystkich ludzi bez względu na światopogląd. Od współpracy wyklucza się bowiem tylko tych, dla których *c e l e m* są optymalne warunki życia pewnej określonej grupy ludzi np. rasy nordyckiej według narodowych socialistów b. Niemiec hitlerowskich. Konieczność współpracy ludzi o różnych światopoglądach przy realizacji dobra wspólnego wymaga jednak pewnej wspólnej platformy. Stanowiąc ją może właśnie doczesne dobro, pojęte jako cel sam w sobie.

Różnice między współdziałającymi partnerami — najbardziej zaśadnicze — nie mogą stanowić przeszkody dla współpracy na odcinku leżącym na tej samej drodze do tego samego celu, jakkolwiek jego istota i wartość jest pojmowana różnie. Jeżeli zaś mowa o chrześcijańskim ustroju społecznym w

sensie, w jakim to pojęcie jest rozumiane potocznie, a o którym wspomnieliśmy w naszych rozważaniach, to wskutek zaangażowania tak ważkiego słowa, zbyt wielka jest pokusa aby za jedynie kompetentnych realizatorów doczesnego dobra wspólnego uznać samych tylko chrześcijan. Pokusa ta rodzi w swych skutkach tendencję do swoistego rodzaju „ghetta” chrześcijańskiego w dziedzinie, w której (o czym była mowa) z natury rzeczy do współpracy powołani są ludzie o różnych światopoglądach. Tendencja ta, rzecz jasna, odstrasza wszystkich tych, którzy wprawdzie uznają walkę o uczynienie warunków życia bardziej ludzkimi, za godną nawet ofiar osobistych, ale którzy nie chcą rezygnować ze swoich przekonań światopoglądowych. Tym samym jest ona szkodliwa dla osiągnięcia doczesnego dobra wspólnego, pozbawiając je tych wszystkich twórczych momentów, które mogłyby wnieść ludzie wychodzący z innych pozycji światopoglądowych lecz dochodzący do wniosków praktycznych stwarzających możliwości współpracy nad wspólnym dziełem czynienia sobie ziemii podaną.

Wielkim niebezpieczeństwem „ghetta” chrześcijańskiego jest też tendencja do realizowania partykularnego doczesnego dobra wspólnego t.j. optymalnych warunków życia dla grupy ludzi wyznających ten sam światopogląd.

„Jest tylko jedno doczesne dobro wspólne społeczności politycznej — pisze Jakub Maritain — tak jak jest tylko jedno nadprzyrodzone dobro wspólne: Wprowadzanie w społeczność polityczną partykularne doczesne dobro społeczne, które byłoby doczesnym dobrem wspólnym wiernych jednej religii, choćby nawet prawdziwej, a które wymagałoby dla nich uprzywilejowanego stanowiska państwie, to znaczy wprowadzenie w społeczność polityczną „ghetta” a tym samym szkodę dla doczesnego dobra wspólnego.”

**Z** OPISANEGO niebezpieczeństwa „ghettoowości” płynie jeszcze jedno głębokie i nieraz tragiczne nieporozumienie. Teoretykom i praktykom tzw. „chrześcijańskiego ustroju społecznego” wydaje się, że poparcie prawdziwej religii całą potęgą i władzą państwa jest obowiązujące w „chrześcijańskim ustroju społecznym”. Błąd polega na niezrozumieniu tego, że Królestwo Boże nie rośnie i nie dojrzewa w ten sposób, jak krzepnie i umacnia się królestwo ziemskie: ze zwycięstwa i triumfy królestwa ziemskiego nie są takimi, jakimi są zwycięstwa i triumfy Królestwa Bożego; że Królestwo Boże w swoich sukcesach nie jest zależne od pomocy potęgi królestwa ziemskiego. „Rozszerzanie się Królestwa Bożego nie ma nic wspólnego z osiągnięciami albo zwycięstwami doczesnymi. Jeżeli np. integralność doktryny albo cnota służy umacnianiu zarozumiałości jakiegoś stronnictwa czy kasty a dobry uczynek ma na celu raczej zjednywanie zwolenników niż służbę potrzebującym, nie ma w tym żadnej zdobyczy dla Królestwa Bożego.

Inaczej nakazano nam działać i inaczej działa Kościół... Przekład został podany raz na zawsze... Dziełem istotnie katolickim jest wzniesienie wszędzie prawdy”. (Jakub Maritain)

Przedstawione wyżej zastrzeżenia co do koncepcji chrześcijańskiego ustroju społecznego są próbą uogólnienia doświadczeń i dotarcia do głębszych przyczyn zjawisk towarzyszących wszystkim dotychczasowym usiłowaniom ogłoszenia jakiegoś ustroju za „prawdziwe chrześcijański”. Wydaje się bowiem, że nie to jest ważne czy dany ustrój nazwiemy chrześcijańskim czy achrześcijańskim, ale to, jak w danym ustroju chrześcijanie wywiązują się z obowiązku świadczenia prawdziwe. A ten obowiązek musi być spełniony zawsze i wszędzie.

Rudolf Buchala

- 1) E. Mounier — Wiara chrześcijańska a ewangelizacja  
2) Jak pod 1)  
3) Jak pod 1)  
4) J. Zablocki — Bóg sam da odpowiadź — Dziś i jutro — Nr. 282.  
5) J. Maritain — Les droits de l'homme et la loi naturelle. Paris 1947.  
6) Jak pod 5)  
7) J. Maritain — Religia i kultura

## ATNIK POLITYCZNY

# Tło konferencji Lizbońskiej

**Z**GON króla angielskiego spowodował przesunięcie Lizbońskiej konferencji Rady Atlantycznej na 20 lutego. Do tego czasu w myśl gorących pragnień rządu USA powinna zostać wyjaśniona sprawa udziału i poparcia Francji dla tzw. „armii europejskiej”. Stany Zjednoczone niewątpliwie dają do zrozumienia, że w wypadku negatywnego ustosunkowania się Francji do stworzenia tej armii, której zasadniczą częścią składową będzie zachodnio-niemiecki Wehrmacht — Amerykanie nie zawahają się montować swoją bazę militarną w Europie na drodze dwustronnego układu Waszyngton — Bonn.

W toczącej się we francuskim parlamencie debacie wokół problemu „armii europejskiej” mówcy rządowi raz po raz czynili z przypuszczalnego zachowania się USA zasadniczy element szantażu wobec pracujących socjalistów, których stanowisko miało zdecydować o udzieleniu gabinetowi Faure'a wotum zaufania.

Tymczasem jednak Adenauer nie prawie nie uczynił, ażeby przyczynić się do przytłumienia wzrastającej podejrzliwości Francuzów. W dyskusji, jaka miała miejsce w bońskim „parlamencie” w związku z kwestią remilitaryzacji Trizonii

— zachodnio-niemiecki kanclerz otwarcie zaatakował Francję zarzucając jej „próby kontynuowania przedwojennej polityki zbliżenia z ZSRR celem przeciwstawienia się Niemcom”. Adenauer podtrzymał ponadto niefortunne żądania swego wysłannika prof. Hallensteina, który niedawno domagał się w Paryżu włączenia Niemiec Zachodnich do organizacji paktu atlantyckiego i zakładał protest przeciw mianowaniu ambasadora francuskiego w Saarze — „Jeżeli mamy stać się członkami europejskiej wspólnoty obronnej — oświadczył Adenauer — musimy również zostać członkami paktu atlantyckiego”. W sprawie zaś wysuniętego przez siebie zarzutu, że Francja dąży do przesądzenia losów Saary — szef bońskiego reżimu zapewniał Bundestag: „My, Niemcy, czujemy się tym wybitnie zaniepokojeni i musimy żądać, aby wreszcie przywrócono Saarze prawdziwe, demokratyczne swobody”.

Jak wiadomo wśród burżuazyjnych deputowanych francuskich przeważa tego rodzaju opinia, że Niemcy Zachodnie winny wejść do tzw. „europejskiej wspólnoty obronnej”, natomiast do organizacji paktu atlantyckiego dlatego wejść nie powinny, ponieważ ich obecność z góry przesądzałyby a-

gresywny charakter tego formalnie „defensywnego” układu.

Po prostu nie wiadomo czyje zakłamanie jest większe. Chwilami wydaje się, że burżuazja francuska popierająca amerykańskie plany agresji pod pozorem, że chodzi jej o „obronę wolnego świata” — swą hipokryzją przewyższa cynicznych militarystów pruskich z Bonn, których przywódca bynajmniej nie ukrywa jak rozumie udział Niemiec Zachodnich w „europejskiej wspólnotie obronnej”.

W trakcie wspomnianego przemówienia Adenauer wyraźnie oświadczył: „nie zdołamy odzyskać Berlina i niemieckich terenów na Wschodzie w inny sposób jak tylko na drodze zjednoczenia Europy”.

Sumując, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przyberające na siebie zaognienie stosunków między Niemcami Zachodnimi a Francją stanie się głównym tłem obrad Rady Atlantycznej w Lizbonie. Długoletni aspekt ewentualnego stanowiska jakie na konferencji tej zaima delegaci francuscy będzie problem ostatecznej decyzji Wielkiej Brytanii w sprawie udziału żołnierzy angielskich w „armii europejskiej”, który to udział choć natarczywie postulowany przez Francję wydaje się więcej niż nieprawdopodobny.



Leonard BARSZCZEWSKI

PRZED TRZECIM ROKIEM PLANU 6-LETNIEGO

## OSIĄGNIĘCIA I PERSPEKTYWY

PRZED kilku tygodniami weszliśmy w trzeci rok Planu 6-letniego. Rok ten będzie okresem dalszych, trudnych i ciężkich wysiłków w walce o wzrost sił Polskiej Ludowej, o stworzenie podstaw potęgi gospodarczej naszej ojczyzny, o dobrobyt materialny społeczeństwa.

Na tle analizy osiągnięć roku ubiegłego opierać się muszą konkretne zadania stawiane do wykonania naszej gospodarce narodowej w roku 1952.

Trzeba jednak przy tym zaznaczyć, iż układ stosunków w polityce międzynarodowej powoduje konieczność podniesienia do zadań pierwszoplanowych utrwalenie niezależności gospodarczej kraju i wzmocnienie jego obronności. Nie przeszkadza to jednak realizacji podstawowego założenia Planu 6-letniego — socjalistycznego uprzemysłowienia kraju. Spójrzmy przez chwilę na okres ubiegły.

Komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego o wykonaniu Narodowego Planu Gospodarczego na 1951 r. opublikowany został w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca. Z tymczasowych danych w nim zawartych można wywnioskować ogólny wniosek, iż uczyniliśmy dalszy, poważny krok w rozwoju gospodarczym naszego kraju.

W wielu gałęziach plany zostały wykonane pomyślnie i niejednokrotnie z nadwyżką, co jest sukcesem naprawdę godnym uwagi, w innych jednak wypadkach wytworzyła się sytuacja wręcz odwrotna. Już sam fakt różnego poziomu wykonania planów w poszczególnych dziedzinach jest zjawiskiem niezdrowym, powodującym dysproporcje i zahamowania w toku pracy. Wszystkie bowiem gałęzie gospodarcze są ze sobą ściśle powiązane i warunkują się wymiarem wyrobów, które służą jako surowiec, narzędzie produkcji lub środki utrzymania pracowników. Z tego względu pozostawienie w tyle choćby jednego tylko, małego odcinka gospodarczego nie może być bagatelizowane.

PLAN produkcji przemysłowej na 1951 r., znacznie powiększony w stosunku do pierwotnych założeń Planu 6-letniego, wykonany został według wartości w cenach niezmiennych w 100,8 proc., co oznacza wzrost w stosunku do roku 1950 o 24,4 proc. A więc tempo rozwoju przemysłu zostało utrzymane, chociaż jak wiadomo, w toku realizacji planu przemysłowego mieliśmy duże trudności, szczególnie w III kwartale, kiedy przed założeniami wielu zakładów wytwórczych i przedsiębiorstw budowlanych postawiono nowe zadania, wymagające olbrzymiej energii i sprawności oraz zdolności zastosowania najnowszych zdobyczy techniki, technologii i organizacji pracy. Zadania Planu 6-letniego przewidziane na ten rok zostały przekroczone o 13 proc., a produkcja przemysłu wielkiego i średniego osiągnęła wskaźnik około 270 proc. w stosunku do roku 1938.

Ten ogólny wskaźnik obniżony został niewykonaniem planu przemysłu podległego Ministerstwu Handlu Wewnętrznego, spowodowany spadkiem skupu żywego, o czym z kolei zdecydowały trudności w rolnictwie.

Nie zadowala jednak w tym roku wykonanie planu wartościowego. Należy więc zająć się oceną wykonania planu rzeczowego we wszystkich asortymentach. I w trakcie takiej analizy — opartej na danych przytoczonych przez min. E. Szyra\*) — wyłaniają się niedocią-

gnięcia przemysłu hutniczego, który plan wytopu surowki wykonał w 97,5 proc., stali surowej 99 proc., wyrobów stalowych 99 proc. Niedociągnięcia są tu małe, ale nie udało się tych nieznacznych procentów wydzwignąć.

W przemyśle motoryzacyjnym obok wspaniałych osiągnięć w produkcji samochodów „Star” oraz uruchomienia montażu samochodów osobowych „Warszawa”, samochodów ciężarowych „Lublin”, plan produkcji traktorów wykonany został w 75 proc. Pamiętać należy, iż zagadnienie traktorów wiąże się ściśle z mechanizacją rolnictwa. Podobne zjawisko zanotować można w dziedzinie produkcji kwasu siarkowego, tego cennego produktu zwanego popularnie „krwią przemysłu”, którego plan produkcji wykonany został w 74,5 proc. Niedobór kwasu siarkowego odbił się ujemnie na produkcji nawozów fosforowych i spowodował niewykonanie planu.

Nie wykonał planu produkcyjnego przemysł cukrowniczy (79 proc.), mięsny (77 proc.) i roszarniczy, których surowce pochodzą z rolnictwa. — Z powodu ogólnych trudności w tej dziedzinie powstały tak poważne niedociągnięcia. Analizę planu rolnictwa przeprowadzimy dalej. Tu należy stwierdzić, iż fakty te są świadectwem wielu trudności i niedociągnięć istniejących w naszej gospodarce obok wielkich sukcesów.

Należy jeszcze zwrócić uwagę na wprowadzenie nowej techniki oraz uruchomienie w związku z tym produkcji szeregu wyrobów przemysłowych dotąd u nas nie wytwarzanych.

Podjęto produkcję kwasu siarkowego z krajowych anhidrydów, w oparciu o metody opracowane przez polskich specjalistów. Zaczęto wytwarzać nowe rodzaje żywic syntetycznych, także z surowców krajowych, nowe gatunki koksu, specjalne elektrody węglowe, włókna sztuczne „Polan” - Gorzów,

szkło pianowe, cement szybkosprawy itd. Uruchomiono produkcję wielu skomplikowanych maszyn i urządzeń, produkcję kombajnów węglowych, ładowarek „Kaczy Dziób”, wrębiarek na podwoziu gąsienicowym, tokarek, zataczarek, karuzelówek, strugarek (dłutownic) do kół zębatach i innych ciężkich maszyn polskiej konstrukcji. Wytworzono nową maszynę papierniczą, nowe typy wagonów osobowych, wagonów samowładowych, platform sześciociosowych, statków i maszyn rolniczych.

JESTEŚMY w trakcie walki o mechanizację i walkę tę musimy wygrać, gdyż jest ona czynnikiem rozładującym trudności na odcinku siły roboczej, które zaczynają wyłaniać się jako zjawisko stałe w niektórych okręgach kraju, a w innych pojawiają się tylko sezonowo. Przyrost zatrudnionych w sektorze socjalistycznym na przestrzeni ostatnich czterech lat przedstawia się imponująco. Stan zatrudnienia w 1948 r. wyniósł poza rol-

nictwem 307.208 osób, a w 1952 r. wynieść ma łącznie z rolnictwem 5.767.000 czyli około 23,6 proc. ogółu ludności.

Jak wygląda rozwój rolnictwa w ostatnim okresie?

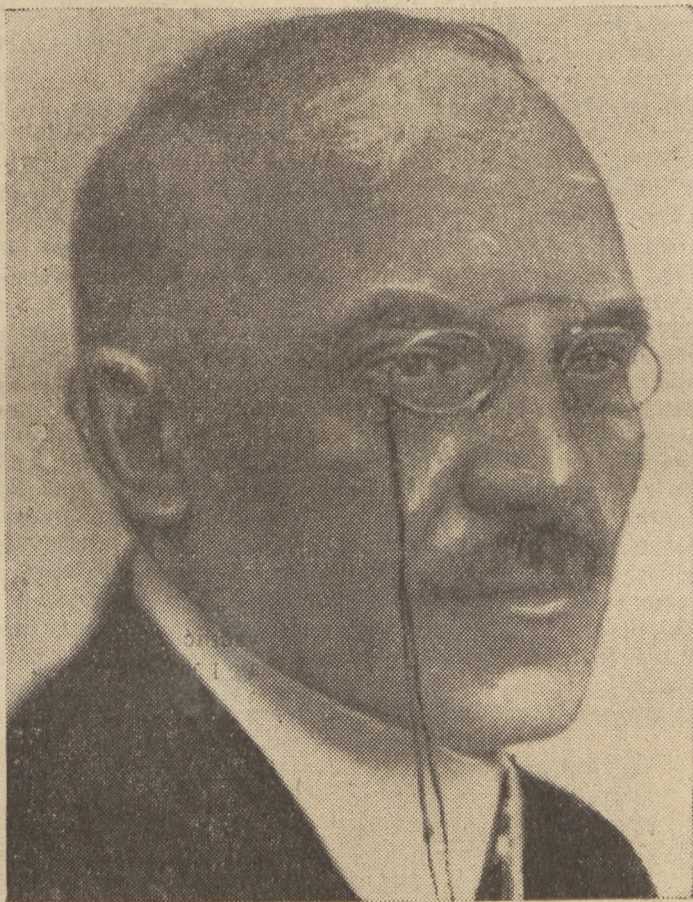
W roku 1950 produkcja rolna przewyższała założenia pierwszego roku planu 6-letniego. W ubiegłym roku nastąpiło załamanie rozwoju spowodowane przede wszystkim dłu gotrwałą kłeską posuchy i spadkiem hodowli trzody chlewnej oraz niedostatecznym rozwojem hodowli bydła.

Produkcja rolna ubiegłego roku niższa była o 4,4 proc. od produkcji roku 1950 i o 5 proc. niższa od poziomu założonego na 1951 r. w Planie 6-letnim. Z powodu suszy plony czterech podstawowych zbóż kształtowały się na poziomie roku 1950, a zbiry buraków cukrowych i ziemniaków były znacznie niższe. Z tego też powodu nie został w pełni wykonany plan zasiewów je-

(Dokończenie na str. 10)

Wanda PIENKOWSKA

## 65 LAT PRACY LITERACKIEJ



PORYWISTY wicher owego przedpołudnia nagonił znów skądś niskie, pochmurne obłoki. Po szybach gabinetu zadreptał pośpiesznie przelotny deszcz. Rozmowa urwała się w pół słowa, ale w powstałej nagle ciszy, pomiędzy kłębami fajkowego dymu, dalej snuły się urzekające wizje Wielkiej Przygody.

— A potem? — spytałam nieśmiało.

— A potem przyszła starość — odpowiedział z przekornie młodzieńczym uśmiechem.

Postać Władysława Umińskiego jest w literaturze polskiej zjawiskiem zupełnie wyjątkowym: „To marynista! — powiedzą o nim ludzie morza. „To nasz pisarz!” — zaprotestują lotnicy. „Popularyzował wiedzę wśród ludzi!” — stwierdzą starsze pokolenia chłopów i robotników. „Prowadził nas w kraj Wielkiej Przygody i uczył jak być dzielnym i szlachetnym!” — wkrzykną zgodnie trzy generacje, wychowane na książkach Umińskiego. I każde

z tych czterech zdań jest w pełni słuszne i prawdziwe.

Urodzony w 1865 roku na Kujawach, Władysław Umiński zaczyna pisać jako młodzieńki chłopiec i już w 1889 r. drukuje pierwszą powieść podróżniczą pt. „Zwycięzcy oceanu”. W cztery lata później ukazuje się pierwsza jego praca o lotnictwie — „Zegluga powietrzna”, będąca dziś białym krakiem w literaturze lotniczej. Ciekawym szczegółem jest fakt, że książka ta miała w społeczeństwie słaby oddźwięk, zyskując sobie natomiast bardzo przychylną recenzję w „Przeglądzie Technicznym”.

Należę do nielicznej już chyba dzisiaj garstki ludzi, którzy byli naoczniymi świadkami narodzin naszego lotnictwa — mówi nestor pisarzy polskich, w zamyśleniu spoglądając na nieodstępną fajkę. Obserwując te rodziny i dalszy rozwój zeglugi powietrznej, Umiński z właściwą sobie pasją przeprowadzał dokładne studia badawcze zagadnienia, pisząc jednocześnie książki popularyzujące lotnictwo wśród społeczeństwa. Był też założy-

ciem pierwszego kółka lotniczego w Warszawie. Ogółem napisał około 30 książek o tematyce lotniczej, książek w których przewidział niejedną z późniejszych wynalazków w tej dziedzinie. Między innymi pierwszy dostrzegł możliwości szybownictwa.

— Podbój powietrza pasjonował mnie od najmłodszych lat — ciągnie swoją opowieść Umiński — W roku 1888 pisałem w tygodniku literacko-naukowym „Wędrowiec” o kierowaniu balonem. To było dobre pismo, a wydawał je Sikorski i Granowski, ci sami, z których drukarni wyszła Wielka Encyklopedia Ilustrowana i inne cenne dzieła...

ALE wszechstronność zainteresowań nie pozwoliła znakomitemu pisarzowi dochować wierności lotnictwu. Drugim, nieodpartym porągającym go żywiołem było morze. Pisząc kilkanaście porywających i ulubionych tak przez młodzież jak i dorosłych książek o tematyce morskiej — Umiński, podobnie jak w powieściach lotniczych, obok sensacyjnej fabuły i szła chętnych tendencji daje wiele gruntownej wiedzy o morzu. O potrzebie tego rodzaju książek świadczą liczne wznosięcia („Zwycięzcy oceanu” ukazał się już w 10 nakładzie) i nie mniej liczne listy od czytelników. Wielkim walorem powieści podróżniczych Umińskiego jest dokładna znajomość etnografii, geografii i etnologii opisywanych przez niego krajów.

— Czy książki poruszające zagadnienia techniczne nie tracą w następnych wydaniach swojej aktualności, wobec stałego postępu wiedzy?

— Oczywiście, to też każde następne wydanie poddaję „kuracji odmładzającej” — uśmiecha się z ożywieniem autor — tak, aby nawet rzeczy z przed czterdziestu lat stały na obecnym poziomie nauki.

Ogromne zasługi położył Władysław Umiński w dziedzinie oświaty. Jego broszury popularno-naukowe były przed pierwszą wojną światową bezcennym materiałem odczytowym dla wielu organizacji oświatowych. Należąc do konspiracyjnych kół oświatowych, Umiński szczególną wagę przykładal do popularyzacji nauki wśród ludu wydając kilkanaście prac z różnych dziedzin wiedzy.

— Wielką radością napelnia mnie fakt, że książki moje trafiają obecnie bez trudu nie tylko do bibliotek szkolnych, ale polecane są przez Ministerstwo Oświaty (jak np. powieść pt. „Znany chleb”) również do bibliotek gmminnych. W ten sposób realizuje się

działanie całego mego życia aby nieść oświatę najszerzym warstwom społeczeństwa.

W końcu ubiegłego roku Rada Ministrów przyznała Władysławowi Umińskiemu nagrodę za całokształt działalności literackiej.

O BOK energicznej działalności społecznej, wielki pisarz oddawał swoje pióro również na usługi postępowych pism polskich (m.in. „Gazeta Wileńska”), redagując też i wspólnie redagując „Wieczory Rodzinne”, „Dziennik Kijowski”, „Czytelnię dla Wszystkich” i „Miesięcznik Ilustrowany”, którego był założycielem.

— Gdy tak przerzucam w myśli dawne wspomnienia — dobiega zza kłębu dymu fajkowego cichy głos — nie jeden zapomniany dziś przez wszystkich fakt staje przede mną tak żywo, jakby to wczoraj było... Czy wie pani, na przykład, że ta oto moja noga była pierwszą „urzędową nogą”, jaka po okresie rozbiorów stanęła na Zamku? Było to w 1918 roku, podczas rozbrajania Niemców na ulicach Warszawy. Tak. Ale wróćmy do dzisiejszej rzeczywistości.

— Czy obecnie ma pan coś na warsztacie?

— Owszem. Piszę teraz dwie książki. Jedną z nich, pod tytułem „Świat za lat tysiąc” jest wizją przyszłego życia. Druga, zatytułowana „O własnych siłach” opowiada o konkretnym, dzisiejszym życiu dwójki chłopskich dzieci, które dzięki pomocy Państwa wyrastają — chłopiec na marynarza, dziewczynka na śpiewaczkę. Poza tym mam ukończoną już książkę „Zaziemski świat”, traktującą o pierwszym locie międzyplanetarnym w rakiecie poruszanej energią atomową..

\*

Ow porwisty wiatr, który tak grasował tego przedpołudnia po Milanówku, rozrzucił nagle obłoki po całym niebie, wyłuskując spośród nich słońce. Gabinet pojaśniał, a sędziwa głowa dostojnego pisarza rozszereżyła się w słonecznym blasku. W zapadłej nagle ciszy rozbrzmiewały jeszcze ostatnie słowa Władysława Umińskiego: „...w rakiecie poruszanej energią atomową...” I w tym momencie jasnym mi się stało, że tajemnica oroku jego książek i ich nieśmiertelnego życia w literaturze leży w niespożytej młodzieńczości serca i umysłu pisarza, który niestrudzenie podąża za rozwojem wiedzy aby najszczytniejsze idee nauki zarzekać w sercach i umysłach młodzieży.

Wanda Pięnkowska

\*) por. „Nowe Drogi”, nr 6 z r. 1951.







Konrad EBERHARDT

# Czytając »Gwałtowników« J. Dobraczyńskiego...



Jan Dobraczyński

Marcel Proust rzucił w jednym z tomów swojego „Poszukiwania straconego czasu” bardzo ciekawa uwaga. „Świat — powiedział — jest jeden i ten sam dla wszystkich ludzi, ale inny dla każdego”.

Takim światem właśnie, którego bezwzględna „jedność” i niezmiennosc łączy się z nieskończoną mnogością indywidualnych przeżyć — jest katolicyzm. Każdy człowiek tworzy z czasem swój własny model życia, w którym religia zajmuje większe lub mniejsze miejsce, je przywiązuje się do niego i nie ma już nigdy odwagi przekroczyć ułóżki ustalonych bezwiednie granic. Do stałych niekiedy zdumiewa się widząc jednostki, łamiące wszystkie konwencje „dusz uspokojonych” — konwencje nienal na ślepo w Wielkiemu światu, nie zważając na to, że mogą się spociecć w jego żarze. Reakcja katolików w takim wypadku nie bywa jednakowa. Jedni odwracają się milcząco i uciekają, aby nie doszrec nic, co by mogło zburzyć ich pracowicie wyhodowany spokój — inni rzucają się zgodnie, aby zadławić niepożądanego „szaleńca”.

Przykład najjaskrawszy: Francja drugiej połowy XIX wieku i pierwszej XX stulecia. To właśnie katolicka Francja, która zamknęła w pustelni Ernesta Hello, która skazała Leona Bloy na 70 lat męczarni, która obsypywała pochwałami, aby w końcu zmieszać z błotem i zdeptać Karola Peguy i która wypędziła z Francji Bernanosa, która znęcała się nad książkami Meksencjusza Van der Meercha...

Lecz kto dzisiaj z ludzi, dla których wewnętrzny związek sztuki i religii — literatury i religii nie jest tylko obojętnym „specimen” naukowym — nie napotkał na drodze swych poszukiwań tych dwóch nazwisk: osamotnionych, i wielkich, i bliźniaczych: Leona Bloy i Jerzego Bernanosa.

Nie koniecznie trzeba mieć w rękach książki obu pisarzy, reprezentujących dwa różne pokolenia, aby zetknąć się z atmosferą myśli ich dzieł. Myśl ta, na podobieństwo fal rozchodzących się kolisto od miejsca upadku giazu do wody, do dziś rozszerza zakres swojego oddziaływania i przemawia już przez usta innych ludzi i innych dzieł. Można zreszta nawet raz przeczytać ich książki, by stwierdzić, że Bloy jest zbyt przesadny, a Berna-

nos niezrozumiały i ponury. Jeżeli przed kimkolwiek istotnie wyrasta problem kultury chrześcijańskiej — ten musi raz jeszcze napotkać te postacie — nieustępliwie i nie do ominięcia. Każdy musi Leona Bloy i Jerzego Bernanosa odkryć sam dla siebie, inną drogą i w innym czasie. Każdy, kto jest artystą — katolikiem, musi dojść do głębokiego wyznania Eloy — jak doszedł do niego Jan Dobraczyński:

„Jeżeli sztuka jest w moim bagażu — to tym gorzej dla mnie. Pozostaje mi tylko ofiarować w służbę Prawdzie to, co mi zostało dane przez kłamstwo”.

Dobraczyński wiedział, gdzie szukać odpowiedzi na pytanie, jaką powinna być literatura katolicka. Każdy, kto uderzony trafnością jego charakterystyk w „Gwałtownikach” sięgnie po dzieła obu pisarzy — odnajdzie również tę odpowiedź.

Bloy i Bernanos nie mówią o komplementach ani pod adresem sztuki, ani literatury. Zresztą, pod adresem ich książek można też wytoczyć działa zarzutów z punktu widzenia teorii literatury. Gdzież mamy w ich konsekwencji fikcji literackiej, gdzie granica między pamiętnikiem a powieścią?

Weźmy tę jedyną, nie do naśladowania książkę „Pod słońcem szatana” Bernanosa, gdzie niemal w każdym zdaniu powiedziano „za dużo”, za gwałtownie, zbyt nieharmonijnie z punktu widzenia arcyzmu — ale w której przez gruzy normalnej kompozycji i struktury gatunku epickiego przewiał niewątpliwie oddech geniuszu. Można ich jednak zrozumieć. Byli przeciwni „gwałtownikom”. Depcząc ustalone konwencje literackie, przeciwstawiali się temu typowi mieszczańskiemu, bezideowemu wbrew pozorom pisarza i jego „zgrabnie” komponowanym książkom — jakiego święta sylwetkę dał Leon Bloy w „Le Désesperé” w postaci przedstawiciela oficjalnej, „dobrze myślącej” literatury katolickiej Pawła Bourgeta — ukrywając go pod przejrzywym kryptonimem Alexis’a Dulaurier’a. Oto ów typowy wytwór liberalnej epoki:

„Dulaurier zamknął oczy i zarzeczany w ciepłym łóżku, słuchając trzaskania ognia, zatonął w rozkoszonym rozleniwieniu tych przedstawicieli szczęśliwego świata, dla których dzień wstaje bez grózb...”

Ale pod piórem Jerzego Bernanosa w kilkadziesiąt lat później powstaje jeszcze straszniejsza karykatura.

Oto wielki Antoine Saint-Martin, członek Akademii Francuskiej, autor „Świcy Wielkanocnej” — charakterystyka dla której świetności trzeba szukać porównania na przestrzni całej literatury francuskiej — przybywa do świętego w Lumbres, aby doznać jeszcze jednego nieznanego wrażenia. Każdy ruch piórem namiętnego pisarza dodaje temu przerażającemu portretowi ostrości rysów, żłobi na starczej twarzy bruzdy wycięte w istocie przez rozpuszczenie. Wielki, orzyczany przez świat handlarz pustych, wyperfumowanych słów, przyjeżdża do kościoła w Lumbres, aby jedną z ostatnich sensacji jego życia mogło stać się użyczenie operetkowego świętego, jakiego wyimaginował sobie w paryskim gabinecie i nagle dostrzega wychudłego starca w konfesonale, który skonał, zakonczywszy spowiedź przyjezdnych.

„Lecz co innego ma do powiedzenia znakomitemu pisarzowi, który z dala przyjechał go odwiedzić. I jeżeli usta czarne w cieniu, podobnie rano rozdarłej wybuchem ostatniej skargi, nie wymawiają już żadnego dźwięku — to przecież cały ten trup rzuca straszliwe wyzwanie: Chciałos mego spokoju — wola święty z Lumbres — to przyjdź i wez go”

Odpowiedź, która w kilkadziesiąt lat po Leona Bloy Bernanos rzuca wszystkim Saint Martinem „zpluwającym się w nieobowiązującej i efektownej naplaninie filozoficznej, wszystkim katolikom usiłującym za niską cenę zdobyć „spokój boski” jaki daje Kościół. Żądając maksymalnej zgodności życia i dzieła, Bernanos nie waha się rzucić swego oskarżenia wobec najwyższych autorytetów:

„Nie mogę tolerować — pisze w książce „Les enfants humilies” („Dzieci upokorzone”) — aby życie p. Paula Claudela spacerowało po jego dziele surowym jak klasztor romański... — wygalowane po brzuch, okryte orderami, z kieszeniami pełnymi akcji i papierów wartościowych”.

Literatura katolicka nie jest i nie może być sklepikiem, gdzie prowadzi się taktykę zbytu towaru. Leon Bloy pisząc „Le Désesperé” udzielił kiedyś wywiadu ciekawskiemu dziennikarzowi (odnalazłem ten wywiad wkręcony przez wielbiciela Bloy do jednej z jego książek), po którym pozostało nawet nazwisko: Joe Brascou. Zapytywał on, jaką „taktykę” posiada i stosuje pisarz wobec swoich odbiorców.

„Taktykę!” — zawołał Bloy — „Czy ja posiadam w ogóle jakąś taktykę? Stukam na prawo i na lewo i to wszystko. Najmniejsza okazja jest dla mnie wystarczającą, aby wyrazić swoje obrzydzenie, które wzbudza we mnie dziewięć dziesiątych, albo może dziewięćdziesiąt dziewięć setnych moich współczesnych. Kim jestem? Jeremiaszem zagubionym w tym, co wy nazywacie cywilizacją współczesną. Poza Jezusem Chrystusem nie ma istniejącego dla mnie, czy mnie Pan rozumie?”

Do kręgu myśli Bloy i Bernanosa trzeba dobrać samemu. Janowi Dobraczyńskiemu wpadł w ręce jeden tom „pamiętników” Bloy — i odłód pozostał mu wierny. Inni zaś skoczni trafnością jakiegoś zdania u Bernanosa, jego niezawodną precyzją wciągają się w ten klimat walki i modlitwy, która nie zna takich ustępstw.

Bo literatura katolicka nie jest i nie może być sklepikiem, gdzie za cenę popularności sprzedaje się bezosobowe i tzw. „ponadczasowe” idee. Ponadczasowe — oczywiście w innym sensie — wyznaje również Leon Bloy. Ale Bloy zna jednocześnie doskonale swoją epokę i potrafi wydać o niej sąd. W kilkadziesiąt lat przed haniebną wojną w Viet-namie, jaką toczy obecnie rząd francuski — doskonale ocenil groźbę i moralną zbrodnię kapitalizmu. Gdy jego młodszy brat, Jerzy Bloy, zostaje zasądzony za działalnosc w obronie uciśnionych tubylców z Cochichiny — Bloy napisze w jednym z tomów swojego pamiętnika:

„Mam brata, który został skazany na sześć lat prac przymusowych i jestem niezmiernie dumny z tego brata”.

Dla Jerzego Bernanosa ani walka z szatanem, ani subtelne przeżycia duszy ludzkiej w drodze ku nawróceniu, ani problem winy i kary — nie stają się wieżą z kości słoniowej, odgradzającą artystę od toczącej się zmiennej fali aktualnych wydarzeń. Co roku niemal z pracowni pisarza wydobywa się gotowa książka-pocisk, skierowana we współczesność, której dechrystianizację i antyhumanizm dostrzega w całej pełni. „La France contre les robots” (Francja przeciwko robotom), „Les chemins des croix des ames” (Drogi krzyżowe dusz), „Les grands cimetiers sous le lune” (Wielkie cmentarze w poświacie księżyca) itd. — każdy tom wypełniony gorczą pisarza, który dlatego, że jest katolikiem, z tym większą wnikliwością potrafi dać ocenę współczesnego świata, sił w nim działających, konfliktów, w których coraz głębiej grzęźnie.

Straszliwa orgia zbrodni i zniszczenia, jaka rozpetala się w roku 1939, nie była niespodzianką dla Bernanosa. Wszak odkrył sprężynę poruszającą w ruch maszynę wojny i zdziczenia: kapitał. Potrafi scharakteryzować epokę królestwa burżuazji kapitalistycznej, w którym znajduje się również godne miejsce dla literatury.

„Nie twierdzą — pisze Bernanos — że Montherlant, Mauriac, Masis, są również faworyzowani, a nawet, że są najlepiej wyposażeni. Przeciwnie oni zajmują niższy krąg Empireum, na którego najwyższych szczeblach zasiadają Trony i Dominacje stali, węgla i nafty oraz Serafinowie lichwy...”

Nigdy ani Leon Bloy, ani Jerzy Bernanos nie pisali tak, aby umiścić się w przypodobaniu publiczności — katolickiej, czy niekatolickiej; ale pisali dla wszystkich, bez względu na to, czy ktoś zechce ich czytać, czy też odrzuci książkę z oburzeniem.

Pokolenie, które zdeptało Leona Bloy, zmarło spokojnie we własnych łóżkach, ale pokolenie, które na świat patrzy przez dymy Oświęcimia, Dachau, Stutthofu, kupuje jego rękopisy za tysiące franków wiedząc, że miał rację. Bernanosowi już wielu przyznało rację za życia — kiedy w jednej z ostatnich swoich książek odsłaniał daleko straszniejsze i szersze perspektywy dla wybuchów bomb atomowych w Japonii, niż „tylko” zniszczenie dwóch miast i śmierć setek tysięcy ludzi.

Ludzie z „epoki pieców” i najgłębszego barbarzyństwa moralnego — zwracają się do pisarzy, którzy zawsze pisali tak — jak im dyktował obowiązek twórców odpowiedzialnych za sens swoich słów. Gdyby ktoś jeszcze pytał, jaką powinna być literatura katolicka — pozostaje mu powiedzieć te słowa Bernanosa, będące modlitwą — najgłębszą modlitwą artysty, który oddaje swoje dzieło, nie tworząc go dla siebie i nic z niego sobie nie pozostawiając:

„Między tymi przechodniami, a nami nie stoi nic — mówi Bernanos. — Jesteśmy w ręku przechodnia, jak w ręku Boga! Obyśmy mogli — ja i moje książki być tak na lasce przechodni...”

X

Powracam do esejów Jana Dobraczyńskiego, od których zbyt daleko odbiegłem. W naszym życiu literackim i wydawniczym stanowią one pozycję o dużym znaczeniu i to nie tylko od strony tematu, o którego ważności nie trzeba już wspominać. Przede wszystkim od strony „wykonania”. Dobraczyński wielokrotnie dał się poznać jako krytyk literacki i eseista wybierający własne formy wypowiedzi, nieszablonowe i niezależne. Eseje jego odznaczają się doskonałą kompozycją i żywym barwnym stylem, niekiedy nawet zbyt urywnym i nerwowym — jak np. w części książki poświęconej Leonowi Bloy.

Dobraczyński lubi posługiwać się obficie cytatai, zawsze jednak dobrarymi doskonale i wmontowanymi w organizm artykułu. Nie to jest jednak decydujące. To co stanowi o odrębności jego esejów (wspomniałem już o tym na początku) — to cecha, która określiłem, jako „liryzm”. Bo właśnie wtedy, gdy Dobraczyński-krytyk, niemyślnymi pociągnięciami pióra zarysowuje sylwetki pisarzy, których charakteryzuje — wyraża wówczas uczucie, jakim ich oddarza, swoją miłością, którą otoczył tych ludzi, gdy przed laty zawiązał z nimi pierwszą znajomość poprzez lekturę. To uczucie właśnie domagające się słów gwałtownych, „bezkompromisowych”, rwie czasem płynność eseistycznej „narracji”. Ale za to owa nierówność stylu nagrodzona jest doskonałą zgodnością z tematem. O „gwałtownikach” trzeba pisać gwałtownie. Takie „pisanie” prowokuje również natychmiastową decyzję czytelnika.

Przedeć książka Dobraczyńskiego, która świeżo weszła na półki księgarskie — podobnie jak książki, o których pisze — jest również na lasce przechodni!

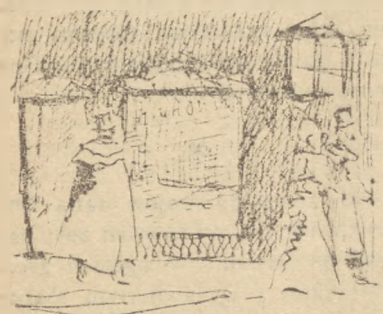
Przyjmijcie, albo odrzućcie.  
Konrad Eberhardt

Dla skompletowania roczników „DZIS I JUTRO”			
poszukujcie się w całości w cenie egz. z r. 1951			
Nr	Łość	Nr	Łość
5	2	28	4
6	5	28	2
7	1	31	2
8	2	34	5
12	3	39	3
13	3	41	5
14	2	42	3
16	5	43	1
17	2	44	1
19	3	47	1
20	4	49	1
25	1		

Zgłoszeń do Adm. stracj. „DZIS I JUTRO”  
Warszawa, ul. Mokotowska 43



I tak ci już i 3-ci sierpnia, a z nim i dolina Reinertzu, góry stromymi a lesistymi bezpiecznie od wichrów uchroniona. Toć i już niby zdrowie w garści, a lubownicy Duszników, ze wszech stron świata w miejscu onym cudownym zgromadzeni, dziwy o skutkach uzdrawiających nieustająco prawią. Tedy w godzin niespełna dwie — pensjon u PP. Bürgel, w pobliskości Łazienek 2 pokoje z alkowami tygodniowo za 1 talar i 10 slbgr. ofiarujący — szczęśliwie wynaleziony (o. przecieć w domach Zarządowi Zdrojowemu przynależnych, ceny zbyt pomiernymi się być nie okazują, a 65 pomieszkań prywatnych — gościom się chętnie udzieli). Zaraz też i doktor Welzel recepty układa i diete zarządza i wodom Lauquelle a razem i mleku kozjemu poruczać się przymusza.



Niech się już tedy nazajutrz. o 6-ej godzinie z rana, niemieckie Koronny, w batystach i muślinach lalkom irszanym podobne, bo przy ciężkimi się wydające, zadziwią, bo oto grafa mający maniery, a smukłością figury i anielstwa twarzy do niezmiernych sfer prawie przynależący młodzian — pod doryckie filary pawilonu wstępuje, niby jakis aniel żalobny, bowiem w czerni przyobleczony, w czerni z wypustką i tylko przy szerokiej kłapię surduta białą, choć smutek orzekającą, jako i z takowegoż koloru fularówą, do stroju rannego stosowaną na szyj chustką — żalobę nieco zamajającą. A przecie jeszcze pospołu z młodzianem też i dama, w ciemnym canezou szacownie się prezentująca i dwie panny w prochowych grodenapłowych spodnicach, po trzykroć sześciu korunkami czarnymi i blondynami białymi na przemiany oszytych — jakas wspólną żalobę okazują.

„Madame Chopin aus Warschau in Polen mit Herrn Sohn, Frederic Chopin. Zum Kurgebrauch eingetroffen. Wohnhaft bei Herrn Bürgel...“

— odczytano na Kur-Liście. Madame Chopin mit Herrn Sohn... O, melancholiczne, to znowu żywe na przemiany rzuty żrenie młodego chłopca, ukladność jego figury... A już ci też nie wiedzieć i skąd, a wokół szepty o artystowskim muzykantwie młodocianego jenuśza... o białej wypustce, znaku Żaloby Narodowej...

Tedy już co rano, z kubkiem świeżej Serwatki za 3 Slbgr. 9 Pfz., promenada po Brunnen Placu, gdzie cztery kłomby i dwa rzędy lip pod którymi stoliki: albo li promenada pod otwartym ganikiem, a przy deszczu — w zamkniętej, niepomierne dużej budowli, opatrzonej na końcach dwoma pawilonami, budowli według rysunku Schulca z Wrocławia, za 1500 talarów sprawionej, a 131 stóp długości mającej, szerokości zaś 11 — i zaczynającej się przy źródle latnym, przytykającej zaś do kapieliśka.

A Wilusiowi do Warszawy, w liście, 28-go sierpnia donieść potrzeba, że „kiepska dęta muzyka z kłunastu karykatur w rozmaitym guście złączona (na czele których fagocista chudy z osiódłym zabaznaczonym nosem przestrasza wszystkich damy, co się koni boją), przygrywa spacerującym wolno Kur-Glastom”. A jest ci to dopiero prawdziwy gatunek reduty, a raczej maszkarydy, gdy tak na Brun-

nen Placu, przede Łazienkami, tłum publiczności wysypie się ze Salonu z Bilardem, z dwóch pawilonów ze źródłami, z sześciu budowli zdrojowych, w których pokojów z alkowami po 13 i 14, a w budowli Nr 1 — to i 17, w której to budowli jeszcze i pokój do przyrzadzania mleka.

A z placu jeszcze promenada po długiej, łączącej Zdrój z miastem alei, w lipy i kasztany, 50-ciu lat już chyba dochodzące, zdobnej. A promenada ta prawie do 8-ej godziny zarządzona, stosownie do kubków, ile ich kto rano wypije. A po śniadaniu, znowu aż do południa, promenada, po której obiad, a potem znowu „idzie się do Brunnu”.

I niech się Wiluś Kolberg, a z nim i rodzina jego, a przecie i znajomi rozliczni zadziwią, bo „po obiedzie zazwyczaj jeszcze większa maszkaryda, niż rano, bo każdy wystroiony, każdy w innym niż rano pokazuje się kostyumie”. I „znowu muzyka paskudzi” a tak się już chodzi do samego wieczora.

Szumią blondynowe falbany i ko rankowe wolanty spódnic; na stulech dam i na woreczkach, u paluszków uwiązanych, mienią się różnobarwne perełki stalowe i miedziane z turkusami ozdoby. Przecie jedne tylko szare żrenice, rzutami zda się iskier, z pod stosowanego, z puklami paliowymi kapelusza, rzucając — wabią oczy przysłego Ucznia Szkoły Głównej Muzyki. Ach, czemuż to przyspieszone serca bicie, czemuż ta niecierpliwść? O, lube przechadzki po wonnej kasztanowo-lipowej alei i one oczów czule spotkania!... Ach, w jakież to fantasmagoryczne duszy i ciała przymioty ubiera nam imaginacja ulubione istoty — kiedy marzymy o szczęściu? Ach, w jakichże wystawia nam odcobach zjawy one, zda się od nadołu ziemskiego oderwane!... Ach, skądże one gorące, lubo niewinne uczucia?!

A w poniekoty, wolny od Bain de Dauche (tak nazwanego tu Tropiadu), lub w wolny od wanny dzień (a koszt wanny dla wszystkich 3 klas wynosi tyle, co tygodniowa opłata wód z mlekiem; łożyska też w ramach z kamienia, z ujęciem dla wód, lepszymi się być okazują od warszawskich, w Kapielach Żelaznych przy ul. Grzybowskiej, jako i w tak nazwanych Wygodnych Kapielach Dębowych u Fabrykanta Garbarni przy ul. Drewnianej, pod górami Denasowskimi, które to kapiele Hygienie przecie nie wysługują się dobrze, choć aby „nikt nie sądził, iż woda, w której się osoby kąpia, drugi raz jest używana, może każdy z kąpiących się sam takową w rynsztok po wykapaniu się wypuścić”!...

W wolniejszy tedy czas — to już na obszar Eisenschmelzu, kiedy romantyczna oaza; i jeszcze obserwacje „na gorze zwanej Einsiedelei, bo tam jest pustelnik. Wszedłszy na górę jedną z najwyższych w Reinertz, wchodzi się po stukilku, dziesiąt schodach w prostej linii, nieledwie pionowo z kamieni zrobionych, do samego puszeluśka, skąd przepyszny widok na całe Reinertz”. A może się jeszcze pójdzie „na jakieś hohe-menze”, bo na Heu-Scheuer doktor panu Chopinowi wejść zabrania.



A w ranki niedzielne, do kościoła w mieście — znajoma z każdodziennych przechadzek, tyle ulubioną „Alea” prosiuchno aż do domu „Pod Barankiem”, skąd na prawo nieco zbaczając — pod górki ledwie podszedłszy, a już ci zuste-

Janina SIWKOWSKA

ria „Pod Aniołem” i kilkudziesięciu kroków na drodze ku Glatzu wiódącej postąpiwszy — a już ci i kościół, gdzie, wdarszy się po kamiennych stopniach, przestraszy cię w świątyni onej potwór morski kazalnicy stanowiący, upodobniony — choć po stokroć większy — do pozostającego w Gabcinie Zoologicznym Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu — potwora głębinowego. Ogon zielony, łuszczyasty, osiem łokciowy, w zawijasy zakręcony, cisnął się ze wściekłością o ścianę, sięgając nieledwie kościelnego podniebienia: ślepią wysadzone, wielkością głów kapuścianych li tylko się mierzące; z otworów na łbie, niby z kominów, wytryski wody stężały zda się w kształt palmowych liści; podbrodzie oblepiły łaskotliwe tłuściochy — amory, a kark depczą święci biskupi i papież, wyrzutami piany ku gorze ciśnięci. Przecie choć w jaskini onej Jonaszowej, kielaskami uzbrojonej,

W DOBIE, kiedy Fryderyk Szopen wyszedł z ciasnych salonów i stał się własnością całego narodu, kiedy całe społeczeństwo chyliło przed geniuszem muzyki polskiej, kiedy w ONZ przedstawiciele państw całego świata uczcili oficjalnym koncertem polskiego muzyka, kiedy mnożyła się po mini Szopena w różnych częściach świata, a w Polsce i za granicą wzmożyła się wydawnictwa szopenowskie — w takiej to szczęśliwej epoce jest nakazem obywatelskim wydobywanie na światło dzienne choćby najdrobniejszych „szopenianów”.



FRYDERYK CHOPIN

foto Cz. Olszewski

Z okazji 142 rocznicy urodzin Fryderyka Szopena, wspomniamy mało znana wyprawiedzi Henryka Sienkiewicza i jeszcze mniej znany głos Gabrieli Zapolskiej na tematy szopenowskie.

PIERWSZĄ wzmiankę dotąd nie bibliografowaną, spotykamy w „Gazecie Polskiej” z dnia 19.XII 1879 r., gdzie Sienkiewicz podaje skromną notatkę tej treści:

„Dzieło Karasowskiego o Szopenie przełożone zostało przez Edwarda Hilla na język angielski pod tytułem: „Frédéric Chopin, His life, letters and works”.

Notatkę tę sygnował Sienkiewicz znakiem paragrafu, dosłownie takim: —§— Jest w niej mowa o dziele polskiego kompozytora i historyka muzyki, Maurycyego Karasowskiego, wydanym w Dreźnie w 1877 r. w języku niemieckim pt. „Frédéric Chopin Sein Leben, seine Werke und seine Briefe”. Sienkiewicz był wielkim znawcą muzyki, a szczególnie gorącym wielbicie-

# CHOPIN W

Duch święty skrzydła ze spokojem rozłożył — kapłan odczytać mający Ewangelia, z pośpiechem jakimś znak krzyża na sobie czyni a oczy przymyka, niby już w obawie, że się paszcza ona krwista z loskotem zawrze i świętym go być przymusi.

Tedy Frycek, Ludwika i Emilka krotofil uciesznych dość sobie w uszy naszepca, gdy pani profesorka tymczasem — w prawej, od wnijsza licząc, kaplicy — Najświętszej Pańwie w sukni złotej i w pierzaste promienie, liściom akan-tusą upodobnione, przyozdobionej... i jakiejś bezzradnej i razem zawstydzonej — języki ogniów czyscowych pod stopkami drobnymi ugasza, dusze najbliższych modlitwami gorącymi ku Jej rękoma miłosierdnym przywołując. A wokół Pani Niebieskiej tłum złoci-sty wszystkich świętych Patronów, wzywanych w różnych chorobach i pokusach. Tedy niech św. Panta-

leon, młodzian, na podobieństwo Sebastiana do pnia drzewnego przygwożdżony, płucem Emilki dawną czerstwość przywróci i niech Błażej, biskup, Fryckowi gardło od przyczęstego, bo cochwilnego już chrypienia uwolni. I niech Akacjusz w bólach głowy samej Pani Mikołajowej pomocnym się stanie, a Dionizy, głowę swoją biskupią, odcieł-tą, oburącz utrzymujący — przeciw zatruciu ufnosci i opętańtu skutecznie broni. — A na odchodem z miasta — jeszcze aby do oberży „Pod Czarnym Niedźwiedziem”, w samym rynku usytuowanej, w oberży, w której — na czarnej drewnianej tablicy, nad alkowką, na łożko zrobioną, zawieszoną — napis, że oto „Roku 1669 dnia 17 augusta, Jan Kazimierz, były Król Polski, przejazdem tu u mnie przez noc bawił. M. B.”... Jeszcze tedy aby w oberży onej torebusej karmelków gazowych — i aby jeszcze 3 odpustowe przed Panną Maryją z

Józef KOBYLAŃSKI

## Sienkiewicz o Cho

Warszawskim” dnia 16 kwietnia 1927 roku.

W powodzi artykułów tego dziennika przedmowa Sienkiewicza minęła nie-spostrzeżona przez historyków muzyki. Nie ma jej również w „Bibliografii. F. Chopina”, pióra Br. E. Sydowa.

Warszawskim” dnia 16 kwietnia 1927 roku.

W powodzi artykułów tego dziennika przedmowa Sienkiewicza minęła nie-spostrzeżona przez historyków muzyki. Nie ma jej również w „Bibliografii. F. Chopina”, pióra Br. E. Sydowa.

W LATACH dziesiątych obecnego stulecia Kolo Literacko-Artystyczne w Lwowie grupowało wokół siebie elitę ówczesnego społeczeństwa polskiego. Dość wspomnieć, że członkami honorowymi Kola byli tacy przedstawiciele kultury i sztuki, jak: Adam Asnyk, Władysław Bełza, Józef Brandt, Karol Estreicher, Jan Gall, Maria Konopnicka, Ludwik Kubala, dr Antoni Małeki, Jan Matejko, Eliza Orzeszkowa, Henryk Sienkiewicz, Kornel Ujejski, Jan Zachariasiewicz i inni.

Rok 1909 był jednym z najpomysłniejszych w dziejach Kola. Przynosił on wielkie ożywienie przede wszystkim na polu literacko-artystycznym. Zgola nieoczekiwanie nabyłem szarą broszurkę dawną zapomnianą, pt. „Sprawozdanie Wydziału Kola Literacko-Artystycznego we Lwowie za rok administracyjny 1909”. Tu na wstępie znajdujemy odczyt wygłoszony przez Gabriellę Zapolską w Kole Literacko-Artystycznym dnia 6 marca 1909 r. pt. „Pomnik Szopena”.

Podajemy go w wyjątkach:

### POMNIK SZOPENA.

O Szopenie nie można mówić. Jego trzeba... słuchać.

I to słuchać jego samego — czysto — po swojemu...

Bez komentarzy.

Bez wnioskowań.

Bez objaśnień.

Słuchać tak, jak Heine, który prosto, jasno wyraził, co czuje podczas muzyki Szopena. Mówi w Lutecii: „gdy Szopen gra, zdaje mi się, że odwieǳa mnie ziomiek z mojej drogiej ojczyzny i opowiada mi to, co tam zaszło podczas mej nieobecności”...

I każdemu z nas, gdy Szopen gra, przez interwencję odtwór-cy zdaje się, że odwieǳa nas jakiś duch z naszej ojczyzny i opowiada nam, co się stało w czasie naszej nieobecności.

A przecieć nasza ojczyzna i Heinego ojczyzna tak bardzo różna. Tuba inna...



# DUSZNIKACH

Dziecięciem Jezus, w kopanii świętych, Floriania i Sebastiana, w rynku stojącej, pacierze — a tak i dla pokrzepionych na duchu już i Serwatki picia przedobiednia przybliża się pora.

Przecież jednak choć zdrowie się wzmacnia i „zabawa z dosyć wesota między rodakami, nawet i znacznie niemieckie familie też przykładają się do wszelkich rozrywek salonu”, a dwóch małców pewnej damy z Wrocławia „zienie-debry” i „zienieczór” Fryckowi z przymileniem się mówią — Pan Chopin zły humor w sobie odczuwa, palce bowiem nie od parady przecie będąc — rdzewieją, instrumentu zaś stosownego nie sposób sobie w Reinertz wynaleźć. Aż ci i meza-długo w liście do pana Elsnera z gorzkością wyznać przyjdzie — „Qu'il n'y a pas un seul bon piano, et tout ce que j'y ai vu, ce sont des instruments, qui me font plus de peine que de plaisir”.

Przecież jeszcze dnia pewnego nie tyle już pantalonu stosownego bra-kło było 16 i pół letniemu panu Chopinowi, ile widoku onej dzie-weczki z Pragi, z młodszą siostrą i chorym ojcem, dla polepszenia zdrowia temuż, do Reinertz przy-byłej, a z pokorą poza klasą III-cią gości pozostającej, tedy z frelo-wych biletów dla ubóstwa swego korzyść odnieść przymuszona.

Aż ci już i tajemnica z ciemnic się wyzwoliła, przyczynę zniknie-nia kilką dni temu dziewczki — okazując. Oto ruszony paraliżem zaonegdajszego wieczora, ojciec dziewczicy nagłe z tym światem się rozszedł, a nieutulone w płaczu sieroty nijak, w stanie ubóstwa wiel-kiego pozostając — na oddanie ziemi mar najdroższych stopownej sumki nie znajdują. — Ach jakżeż by nie przyjsię sierotom onym nie-szczęsnym ku pomocy?! Tedy ten i ów — grosz do grosza, a i zapa-sik Pani Mikołajowej, na czarną w

rys. J. GORAZDOWSKI

muzyki — w białej czworobocznej budowli, której dach szarym gon-tem opatrzony — salkę teatralną i do zabaw, salkę liczącą miejsc 273, w posłanie obejmując.

A na honorowe miejsce to już wiodą, wzbraniając się przecie za-szczytu, matkę pana Artysty oraz i jego siostry. A w pobok pani Cho-pinowej Wielmożny Welzer, doktor, oraz i inspektor Zakładowy, JP. Fritsch, a dalej JPP. Burgel i pol-skie familie, jako że ziomkami są Artysty. A dalej już, ku głębi sal-ki, reszta gości, nawet i z okolic co dalszych przybyłych, tłoczących się ciżbą niepomierną, niecierpliwość w usłyszeniu już, a co prędzej, mło-docianego Wirtuozu okazującą.



Przecież nareście rozsuwają się dwie połowy ładziastej, w spokoju dotąd pozostającej, purpurowej zasłony. Już i w jednej chwili zagrzmiąły muzne oklaski i w grzec-nym ku młodemu Mistrzowi hold-dzie powstałi z miejsc wszyscy au-dytorowie.

Długie, różowe, pieszczące zda się i niewieście palce spoczyły na kością żółtą krytych klawiszach pantalonu. A cisza się stała — że i zabrakło oddechów — by nie spło-szyć onego palców cherubińskich dotknięcia, a z nim już oto i tonu pierwszego, co powłókił za sobą ca-lą protezję dźwięków i strop pięknie sklepiony Reinertzkiej Spiel-Saal ku niebu przepastnemu otwo-rzył. Tedy ci polonez za polone-zem... a każdy mnogoście uczuć, a i co u drażliwszych audytorów — to i strumienie łez, długo pod po-wieką strzymywanych, wyzwalają-cy... A dalej Rondo — w kręgi ma-gnetyczne całą publiczność uchwy-cające... a w nim i szum orlich skrzydeł i rosy na kwiatach nie-słmałe płkanie... bunt ducha Pro-metejowi równy i skarga serca mło-dzieńczego, z zawstydzeniem wy-dana...

Odblaski świec woskowych, z nastającym już wieczornej godzi-ny zmierzchem pomieszane — pie-szczą śmiały, po rzymsku dumny, choć razem i ślachetnością tchnący, a kamei upodobniony, profil młodocianego jeniusza.

Przecież choć odjął już młodzian od instrumentu swoje, ptakom w locie szalonym upodobnione — dlonie, a wstawsz — w ukłonie przziemnym ku Łaskawej Publicz-ności poddał się cały — cisza — przecie przed rychłą burzą — ka-mieniem, zalegającym wciąż jesz-cze salę, się zdała.

Aż ci czyjsiś głos najpierwszy, ziomkowy, łzami nabrzmiał...

— Pan Chopin! Pan Chopin!... Jeniusz, Jeniusz!... Chwała na-rodu naszego!...

A za tym głosem istny już, a hu-raganowi w mocy podobny, upost-ekrzyków i wiewatów tak ci we Fry-deryka w języku ojczystym, jako i w czeskim i niemieckim i ponie-których jeszcze innych zagranicz-nych mowach. Istna wieża babel-ska!

I Pan Chopin nieustającymi o-klaskami okryty i do grania jesz-cze przywoływany... Tedy jeszcze Mazurek! A ten ma w sobie i huk wichru górskiego i szum źródłisty i ptaków słowiczą ćwierkotliwość i czyjesiś wołanie niecierpliwe a serdeczne...

O, fantazma to prawdziwie i cza-rodziejstwo z niczym nie porówna-

ne! Przecie nowymi jeszcze okla-skami i mianem następcy już Mo-zarta zaszczycony, Pan Chopin grać się wzbrania... Wysmukły, choć wzrostu miernego, w czar-nym surducie, białą halstuchą z jedwabnej marseliny rozweselo-nym i w jasnych prochowych pan-talonach wizytowych, Pan Chopin ufatygowany niepomiernie baty-stem podanym mu przez Matkę czolo swoje wyniosłe i piękne, xy-siłkiem, bo czucia nadmiernym wylewem, w kropelki potu powle-kię — odiera... Przecie na próby powszechne honoru słowem porę-cza, że nazajutrz koncertować — chcącym posłuchać jego muzyki — będzie. Tedy już Ariel i razem Organista Licejski, na rękach u-niesiony a w kwiecie, co tam! na-wet w karmelki a czekuladę ku radości sąsiedzkich dzieci, hojnie udarowany.

A jako dziś — tak i w jutrzejsze popołudnie — chwala młodociane-mu Jeniuszowi, a sierotom na dłu-gi czas łez otarcie... Aby zaś nie dać zbyt wiele się wyprzedzić zagra-nicy, chwale Pana Chopin po dziennikach roznoszącej — Kur-rier Warszawski we wtorek, dnia 22 sierpnia, pilnie rodakom ob-znajmiał:

„List w tych dniach odebrany z Kudowy ze Śląska, (o dwie mil od Reinerc) zaszczytnie do-nosi o młodym artyście polskim Fryderyku Chopin, który z zlece-nia Doktorów Warszawskich dla polepszenia zdrowia zostało od niejakiego czasu w Reinerc. Tam bowiem, gdy kilkoro dzieci przez śmierć ojca do wód na ku-rację przybyłego, sierotami sta-ły się, P. Chopin ośmielony przez osoby talent jego znające, dał 2 koncerta na dochód tychże, co iemu wiele chwały, a tym nie-szczęśliwym niepospolite wspar-cie przyniosło. (Ten młodzieniec po wielekroć w Warszawie dał się słyszeć na fortepianie, i za-wsze najzasłużeńsze odbierał u-wielbienia pięknego talentu)”.

Przecież już i Reinertz Panu Chopinowi się uprzykrzyło. Jesz-cze 29-go sierpnia donosił Panu Elsnerowi, że czuje się lepiej ani-żeli do niedawna we Warszawie. Do października wszelako w Reinertz pozostawać, kiedy już i mle-ko od pachciarza Linke, dla chło-du kozom szkodzącego, mogło się gorszym okazać — roztrąpnością by nie było; Emilia też jako śla-bowała, na serwatkach onych ru-mianości jeszcze ostatnich zby-wając.

Przecież jeszcze i tykać się in-strumentu, choć się o nowe kon-certa Reinertz upomina — a już młody Mistrz nie jest w możności. Skuteczna siła, jaką jest serce ob-copólne, choćby najłżejsze drgnie-nie — wraz z ostatnim smutnych zro-nie wejrzaniem wsiadającej w dy-lizans pocztowy dziewczki — w tęsknoty, pustelnictwa spragnio-ne — transfigurowała.



Tedy już 11-go września do Warszawy, tylko że z przystaniem dłuższym we Wrocławiu. Tedy aby najrychlej do Warsza-wy... O, oddalenie się na kilka ty-godni z tego miasta — „wystar-cza do obłąkania wędrownika za powrotem”.

Janina Siwkowska

(Fragment większej całości)

# i Zapolska pinie

Tylko że Szopena siłą duchowa wyzarowywała z głębin ludzkiego ducha ten właśnie ton, ten dźwięk, w którym drga mi-łość ojczyzny. I oto dla Heinego i dla mnie — dla każdego z nas zjawia się duch w innej może postaci, ale podłoże jego — on je-den, przestannik ojczystych sfer.

Mówią, że jakiś wirtuoz forte-pianowy umie grać Szopena.

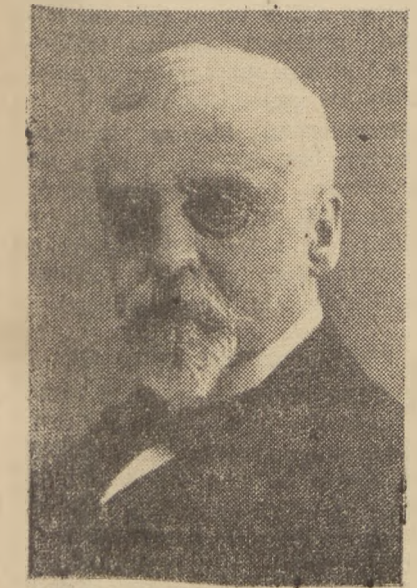
Wniknął, zrozumiał...

Ten nade wszystkich.

Albo — ten.

A to nieprawda.

Szopena umie grać każdy i każdy go gra najlepiej. Bo Szopena się nie gra — ale oto on podkładu swe skrzydła i dusza każdego z nas gra... jak umie, jak może — jak pragnie.



HENRYK SIENKIEWICZ

wydanie Kasy Literackiej

Ten wirtuoz gra siebie, ale nie Szopena.

A w samotnym pokoiku, o szarej godzinie, nieudolnie ktoś gra Preludium, Balladę, Sherzo. Nie ma tam ani techniki, ani mistrzo-stwa. Ale jest coś więcej. Jest ludzki ból, tęsknota, czasem — tak rzadko — nadzieja, lekki, przy-slonięty mgłą uśmiech.

I znów łzy, ięk...

W takim samotnym pokoju, o szarej godzinie...

Samotna jakaś istota i samo-tny ból.

Ten umie grać Szopena, kto cierpiał.

Szczęśliwym przechodzi mimo prawdy jego smutku. Szczęśliwym jest, jak ten, który błądzi w lesie rozkwitłym ornamentami życia. Nie wie, co jest znaleźć się na łące, spowitej w mgłę i w mgłę tej utonąć. A mgła ta, przepojona rosą łez, otula i kołysze. Przez nią z oddali płynie jakiś głos. I oto nadchodzi szczęśliwa godzi-na, w której cierpienie staje się błogosławieństwem i źródłem po-jęcia, że w nas samych jest echo tego cudu melodii, która nie jest już melodią, muzyką, serią tonów, lecz esencją energii istnie-nia i uduchowieniem najwyż-szym.

Tym jest to, co snuło się doko-ła Szopena. Ta tęcza srebrzysto-żółta jak skrzydła go opty-wała. To jest to, co snuje się po-za nim, poza jego mogiłą i snuć się wiecznie będzie.

I wobec tego, czym jest słowo Schumann'a:

— „Hut ab, ein Genie!”...

— Odkryjcie głowę! Geniusz! A raczej:

— Odkryjcie rany waszych serc, bo oto serdeczny Duch!...

Mówią, że żaden twór muzyczny nie ostoi się dłużej nad dwieście lat

Mówią.

A przecież pieśń Szopena o-stała się tak dawno, jak pierw-sza łza, pierwszy na świecie ból.

Bo była ona zawsze wśród nas, odkąd życie ludzkie rozjęcało się w przestworzu. Tylko on ją wyczuł i wydobyl i na struny har-fy swej namotał. Nie przejdzie ona, nie przemienie. I trwać bę-dzie tak długo, jak trwać będą łzy, jak trwać będzie ból...

Pomniki mu stawiać mają, chcą, krzątają się — zabiegają.

Pomniki!

Marmury, wysokie piedestały na widnych placach, kosztują-cie krocie...

Pomniki!

W samotnym, małym pokoiku, o szarej godzinie, rozdzwieczal się niestrojony dawno, ubogi fortepian.

podróży godzinę, czy na słabość od-łożony, na prośbę jej pupila w ca-łości do zebranej już sumki przy-rzucony... Przecie jeszcze na po-wrót do Pragi dość brakuje, tedy może Frycek... Tak, tak... a przy-naglaniu i końca nie ma. Pan Cho-pin się płomieli niby róża i palce zeszywniałe okazuje, przecie ra-dością mu serce nabrzmiewa, że ułożone nieśmiało w głębiach du-cha pragnienie matka pospołu z przyjaciółmi szczęśliwie wyzwoliła, ku celowi upragnionemu przywo-dząc. Przecie mocowałby się wąt-łymi siłmi z organowym ciężkim Choralionem, a nie tylko przebie-rał w pantalonach, dla onej dzie-weczki tyle sercu lubej, a tak los-em uciśnioną.

Tedy już czym prędzej, nie cze-kając niedzieli, koncert Artysty muzycznego, JP. Fryderyka Cho-pin, na środę, 16-go sierpnia, ogło-szono, którego to dnia konkurs nie-zmierzony lubowników wyborowej

Ktoś gra Balladę, Nokturn czy Sherzo... coś Szopena...

Ktoś gra.

Jakiś smutek, jakiś ból, jakieś rozstanie lka...

Płynie ponad szare miasto, jak skarga zwichniętych żyć — tak płynie cicho, nieśmiało.

I tu i tam pochyła się jakaś głowa, dusza i tu i tam rozkwiera się jak kwiat skabiozy, co o za-chodzie swój kielich rozkwiera.



GABRYELA ZAPOLSKA

I lzy szkła

A serca tak bolą

I — to jest pomnik Szopena!

TRESC cała oparta jest na głę-bokich i czułych zwierzeniach wrażliwej duszy, głosnej autorki „Mo-ralności Pani Dulskiej”.

Zapolska, która bezłitośnie i bez-względnie, a zawsze otwarcie smagała biczem satyrę nawiły, przywary i kol-tuństwo mieszczańskie, przesaczyła w odczucie te satyrę po mistrzowski i z finezją, głównie tam, gdzie powiada: „Pomniki mu stawiać mają, chcą, krzą-tają się, zabiegają. Pomniki!”

W tym natchnionym odczuciu ujaw-niła autorka też swa solidarność z bie-dota. Boć przecież nie w jakimś wiel-kopańskim salonie i nie instrument Bechsteina, ale „w samotnym, małym pokoiku, o szarej godzinie, rozdzwieczal się niestrojony dawno — ubogi fortepian”.

I popłynęła zeń melodia szopeno-wska, smutna „jak skarga zwichniętych żyć”, aż lzy się zaświeciły. Lzy ci-bie i dobre, które pacierkami po wynęd-zniałej twarzy spłynęły.

„I to jest POMNIK SZOPENA” — zawyrokowała autorka.

X

Warto dzisiaj przypomnieć te wy-po-wiedzi, chociaż mogą one niepokoić i razić swoją formą, zawsze jednak prze-konać potrafią o wiecznej żywości szopeno-wskiego dzieła.

Józef Kobylański



Leon DWERNICKI

# TURCJA — NOWA KOLONIA

NIEZLICZONĄ ilość razy w naszych dziejach szlachta „siadała na koni, by ruszyć na pohańca”. Z zapalem godnym lepszej sprawy krzyżowały się szable polskie i tureckie, szczerbiąc się nawzajem w zajadłych potyczkach i bitwach. Punkt kulminacyjny tych polsko-tureckich stosunków, to wyprawa wiedeńska Jana Sobieskiego.

gła i Francja, dążąc do utrzymania niezbędnej łączności z Rosją, rozpoczęły w roku 1914 forsowanie Dardaneli.

Tworcą tego projektu był ówczesny Pierwszy Lord Admiralicji Churchill. Forsowanie wykonane początkowo przy pomocy samej tylko floty wojennej, złożonej z krążowników angielskich i francuskich, zakończyło się klęską. Pod

partia tureckiej burżuazji i ziemiaństwa, na czele której stał Mustafa Kemal”. Przy tego rodzaju kierownictwie, rewolucja nie dała oczywiście masom pracującym praw demokratycznych i nie poprawiła ich bytu materialnego. Ostatecznie, walka prowadzona była nie tylko przeciwko obcemu imperializmowi, ale również przeciwko chłopom i robotnikom.

Kemaliści, po zniesieniu sułtanatu i kalifatu chcieli przeprowadzić pewne reformy, przekraczały one jednak ich możliwości i ostatecznie wiele z nich pozostało tylko na papierze.

Reformy swe Mustafa Kemal rozpoczął od zwalczania mahometańskiego ducha w życiu i umysłowości obywateli.

Wszystkie zarządzenia i reformy wprowadzone były gwałtownie z niesłychaną brutalnością.

Pewnego pięknego poranku miliony Turków obudziło się i stwierdziło, że nie potrafią nawet podpisać swego imienia, gdyż począwszy od tego dnia Kemal zabronił używania alfabetu tureckiego i wprowadził łaciński. Zresztą z tymi imionami nie było wiele kłopotu, gdyż dyktator zarządził, aby każdy Turek obrał sobie, na wzór europejski, nazwisko (dotychczas posługiwano się tylko imieniem). Sam dał przykład, obierając sobie nazwisko rodowe Ataturk. Za pielęgnowanie starych, sięgających niepamiętnych czasów tradycji i zwyczajów, groziło więzienie a nawet śmierć na szubienicy.

Zabronione więc zostało noszenie: fezów, czarczafów przez kobiety, czytanie arabskiego wydania Koranu. Kemal zaatakował również gwałtownie religię mahometańską, uważając ją za wsteczną, zniósł Kalifat, zabronił budowania meczetów, ukazywania się derwiszów, wprowadził reformę kalendarza, zmienił również prawodawstwo na wzór szwajcarskiego, zniósł poligamię i zamknął haremy.

W roku 1930 przyznano prawo wyborcze kobietom do rad miejskich, a w 1934 do parlamentu. Ale wszystkie te reformy wobec strasznego zacofania kraju i niskiej stopy życiowej mieszkańców, nie przeniknęły głębiej w życie ludności. Przede wszystkim na wsi kobieta turecka, aczkolwiek uwolniona z haremów i posiadając prawa obywatelskie, pozostała jednak jak dawniej wyzyskiwaną chłopką, pracującą ciężko na roli i niewolniczo



Kemal.

## KRAJ PELEN KONTRASTÓW

ABY jednak zrozumieć wielkie możliwości tego dużego i zacofanego kraju, który jedną nogą pozostaje jeszcze w Europie (około 23 tys. km<sup>2</sup>), pamiętać trzeba, że pod względem geograficznym i gospodarczym jest on pełen kontrastów.

W rejonie Erzerumu i Karsu zima trwa około 6 — 7 miesięcy, temperatura w Karsie dochodzi do minus 43 stopni C., natomiast w okęgach położonych w pobliżu morza Egejskiego, temperatura w zimie wynosi +9 st. C.

Różnorodny klimat w Turcji pozwala na uprawianie: żyta i ryżu, owsa i herbaty, ziemniaków i bawełny, tytoniu, winogron i oliwek. W Turcji rosną pomarańcze, cytryny, migdały, najlepsze figi na świecie oraz orzechy, jabłka, śliwki i brzoskwinie.

W większych gospodarstwach obok kóz, owiec, krow rasy holenderskiej spotykamy bawoły i wici-błądy.

Z bogactw naturalnych wymienić trzeba: żelazo, ołów, węgiel, miedź, węgiel brunatny, naftę.

Pomimo tytułu bogactw naturalnych Turcja nie jest jednak ziemią obiecaną.

## NĘDZA I ZACOFANIE

BURŻUAZYJNA rewolucja Kemala nie wiele wprowadziła zmian w życiu chłopca i robotnika, nie zdołała wyrwać ich z ogromu nędzy i zacofania, nie potrafiła wprowadzić nowych metod uprawy roli. Toteż i dziś na pustynnych płaskowzgórzach Anatolii, z których można by uczynić wspaniałe żyzne obszary, słońce praży podczas lata nieuprawianą ziemię, a zimą stada wilków grasują bezkarnie.

Do dnia dzisiejszego chłop turecki, pomimo iż przyroda dała mu wspaniałe możliwości, nie potrafił wykorzystać tych wszystkich darów jakimi obdarzyła go bogata ziemia, fauna i flora.

Statystyka mówi, że na dziesięciu Turków, 8 żyje z uprawy roli. Jednak sposób gospodarowania jest niezwykle prymitywny, a cały ciężar uprawy roli i hodowli spada na barki kobiet wiejskich.

Do 1949 roku około 80% gospodarstw nie posiadało pługów metalowych i posługiwano się starożytną sochą! Do niedawna Turcja posiadała tylko około 1.066 traktorów, które były własnością państwowych majątków lub obszarników.

Feudalne zwyczaje, zacofanie wsi tureckiej, analfabetyzm, brak zainteresowania techniką, wszystko to sprawia, że uprawa ziemi znajduje się jeszcze na bardzo niskim poziomie.

Nieświadomy, prymitywny chłop turecki jest niezwykle zadowolony, kiedy dowiaduje się, że wymaga się od niego, aby uprawiał więcej ziemi i dostarczał więcej produktów rolnych niż jest to mu potrzebne do wyżywienia siebie i swej rodziny.

Pod względem wiedzy rolniczej, rozwoju produkcji rolnej oraz hodowli wies turecka cofnięta jest o kilka stuleci.

Jeden z korespondentów zagranicznych wspomina, że gdy na wies dostarczono duże nowoczesne kurniki, to zostały one dość oryginalnie wykorzystane. Chłopi opuścili zbudowane z gliny i słomy lepianki, by przenieść się do kurników, w których było im lepiej i wygodniej spać niż w brudnych chatach.

Prymitywizm wsi tureckiej, archaiczne narzędzia rolnicze znajdują częściowo swoje usprawiedliwienie w tym, że kraj ten nie posiada jeszcze dostatecznie rozwiniętego przemysłu.

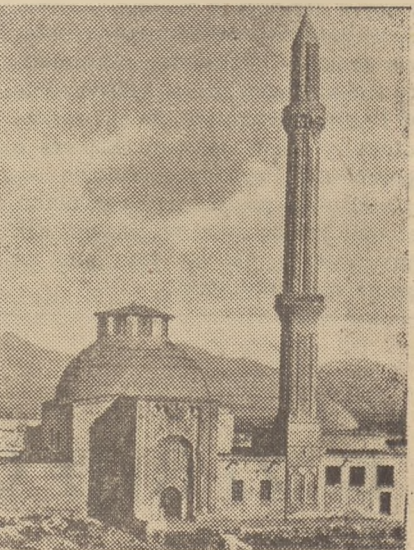
Bogate surowce ukryte w głębi ziemi nie potrafiły zapewnić Turcji dobrobytu, gdyż w większości były one eksploatowane przez obcych, którzy wywozili je i wywożą na własny użytek.

Przemysł turecki jest więc jeszcze w powijakach.

NASTEPCĄ Kemala został wybrany Ismet Inoniu, który od 1938 r. do 1950 sprawował urząd prezydenta i był przedstawicielem tureckiej burżuazji.

Narodowo-Republikańska Partia, która popierała prezydenta znalazła się wkrótce w siłach obcego kapitalizmu. Amerykańscy doradcy ekonomiczni i bankowi szybko zdomowili się w Turcji wpływając nie tylko na jej wewnętrzną ale i zagraniczną politykę.

Tego rodzaju rządy partii narodowo-republikańskiej wywołały niezadowolone narodu i podczas wyborów w maju 1950 r. partia ta poniosła niesłychaną klęskę, uzyskując zaledwie 52 miejsca w Parlamencie.



Minaret w Konii

W związku z tym do głosu doszła Partia Demokratyczna, która powstała w r. 1946 i rekrutowała się przeważnie z byłych członków Partii Narodowo-Republikańskiej. Program jej nie wiele różni się od Partii Republikańskiej, gdyż składa się przeważnie z przedstawicieli finansjery i przemysłowej burżuazji.

Partia ta uzyskała w wyborach 434 przedstawicieli dzięki temu, że obiecała narodowi „złote góry” w postaci: poprawy plac robotniczych, prawa strajków, płatnych urlopów, ustabilizowania cen na rynku wewnętrznym, zmniejszenia służby wojskowej, wolności prasy itd.

Jednak wybrany w 1950 r. prezydentem Eajar szybko przekonał się, że skarb państwa nie może podobać ani w części tym obietnicom, ponieważ zamiast traktorów i pługów musi nabywać amerykańskie czołgi i samoloty.

Pragnieniem Stanów Zjednoczonych jest, by Turcja stała się strażniczką interesów amerykańskich na B. Wschodzie, bacząc by sąsiadujące z Republiką Turecką państwa muzułmańskie podporządkowały się Waszyngtonowi.

## POD CIĘŻAREM ZBROJEŃ

STANY Zjednoczone dążą również aby Turcja stała się osłą śródziemnomorskiego bloku, który byłby niejako filią Paktu Atlantyckiego. Dlatego też w planie Marshalla przewidziane były milionowe sumy na reorganizację i uzbrojenie wojska tureckiego. Pierwsza rata wynosiła 200 mln dolarów.

Generał Harace Logan Mc Bride, szef wojskowej misji amerykańskiej (Joint American Mission for Aid to Turkey), która liczy przeszło 2500 osób, był podobno rozczarowany gdy zapoznał się ze stanem uzbrojenia i wyszkolenia wojska tureckiego. Sprzęt był całkowicie przestarzały, sposoby szkolenia również, a poziom wiadomości korpusu oficerskiego bardzo ograniczony. Natomiast przekonano się, że rekruci wcielani do wojska bez przeglądu lekarskiego, przeważnie analfabeci, są niezwykle mało wymagający, a po

(Dokończenie na str. 12)



Przywykły do nędzy pozbawiony wszelkich potrzeb, chłop turecki nie wie co to sytość.

Te fakty historyczne są jednak zbyt odległe i nie będziemy tu zajmować się ich rozstrząsaniem, ważniejsze natomiast jest to, co dzieje się obecnie w państwie, które w pamięci naszej utkwiło jako kraj: sułtanów, haremów i meczetów.

Nie ulega wątpliwości, że na naszych oczach Turcja wykonała skok od średniowiecza wprost w objęcia XX wieku.

Pierwsza i druga wojna światowa wywołały poważne wstrząsy w życiu politycznym i gospodarczym Turcji i zmieniły jej ustrój wewnętrzny. Ale można by zaryzykować twierdzenie, że to, co pobita Turcja w pierwszej wojnie światowej zyskała, to po drugiej, z której wyszła obronna ręka, utraciła, albo jest na najlepszej drodze aby utracić.

WYSTĄPIENIE Turcji, po stronie państw centralnych, 3 listopada 1914 r. było w pewnym stopniu niespodzianką dla szerokiego ogółu Europy. Wiedzieliśmy wprawdzie, że Anglia i carska Rosja nie cieszyły się zbyt wielką sympatią w państwie ottomańskim, sądzono jednak, że Francja dzięki swym wpływom i popularności potrafi ostatecznie pozyskać sułtana. Jednakże sympatie, jakie naród turecki żywił dla Francji, nie mogły zamknąć mu oczu na grzesną rzeczywistość. Od dawna bowiem wielkie mocarstwa starały się narzucić Turcji swą wolę, ingerując ustawicznie w jej sprawy wewnętrzne.

Z przebiegu pierwszej wojny światowej, która zakończyła się rozkładem państwa ottomańskiego i abdykacją sułtana, warto zapamiętać jeden ciekawy szczegół. An-

naciskiem Churchilla, w kwietniu roku 1915, wojska angielskie wykonały desant na półwyspie Gallipoli. Po stracie 146 tys. żołnierzy Anglicy zrezygnowali z dalszej walki i wycofali swe wojska z półwyspu.

30 października 1916 roku jednak Turcja kapitulowała. Teraz już wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Ciężkie warunki narzucone przez Anglików i Francuzów, okupacja Sadyryny przez Greków, wywołuje opór Kemala Paszy, byłego dowódcy 19 dyw. piechoty na półwyspie Gallipoli. Kemal organizuje akcję przeciwko zachłannemu Zachodowi, rozbija wojska greckie, zmusza do ucieczki sułtana i przewraca stary porządek w państwie.

Turcja staje się republiką, a jej pierwszy prezydent Kemal narzucił władzę dyktatorską.

## BURŻUAZYJNA REWOLUCJA

KLĘSKA w roku 1918 usunęła Turcję z Europy. Dyktator Mustafa Kemal, rezygnując z politycznej pozycji w Europie i przenosząc stolicę z Konstantynopola do Ankar, nie zrezygnował jednak z dążeń europeizacji kraju oraz wywołania Turcji spod wpływów Anglii i Francji.

Okres rządów Mustafy Kemala nazywają niektórzy rewolucją.

W książce „Turcja” Nowosiółów w następujący sposób charakteryzuje ten okres: „Ponieważ proletariatu tego zacofanego ekonomicznie kraju, był jeszcze słaby a partia klas robotniczej zaledwie tworzyła się, na skutek tego kierownictwo ruchem objęli kemaliści —



Bronisław E. SYDOW

# NOWE CHOPINIANA

ZDAWAŁOBY się, że w dwa lata po Roku Chopinowskim 1949, w którym ukazało się w książkowym wydaniu około 70 prac o Chopinie w 17 językach, a między nimi nawet w chińskim, perskim i egipskim, muzykolodzy już nie mieliby nic do powiedzenia, w każdym razie nic nowego.

Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Co prawda, prace czysto biograficzne względnie mało mogą wnieść nowego materiału do ogromnej już liczby — na przestrzeni 102 lat od śmierci Fryderyka Chopina — większych lub mniejszych prac o tym kompozytorze. Przypomnijmy, że bibliografia Chopina przekracza już dzisiaj 12 tysięcy pozycji i należy do największych bibliografii muzycznych w skali światowej.

Natomiast opracowania pewnych odosobnionych odcinków i zagadnień życia Chopina zawierają bardzo cenne szczegóły, mogące oddać poważne usługi późniejszym biografom.

Mało biografów zajmowało się, na przykład, tematem tak niby prozaicznym, a jednak dla oceny całej osobowości Chopina ważnym, a mianowicie sprawą jego materialnych środków do życia. Tą stroną biografii sławnych ludzi zajął się paryski dom wydawniczy „Deux Rives” rozpoczynając publikację serii studiów na temat „De quoi vivaient-ils?” (Z czego oni żyli?).

W wydaniu „Deux Rives” ukazały się dotychczas studia o Wolterze, Balzacu, Tolstoj, Verlaïnie i Gerardzie de Nerval'u. Szósty tom w tej serii, w której są przewidziane prace o Wagnerze, Talleyrandzie, George Sand, Moliere i innych, ukazał się niedaw-

no w opracowaniu Suzanne i Denise Chalmay pod tytułem „De quoi vivait Chopin?” (Paryż 1951, str. 139, 4 nrb.).

STUDIUM to nie jest żadną fantastyczną opowieścią, lecz oparte jest na faktach oraz ścisłych źródłach. Praca ułożona chronologicznie daje żywy obraz

szczegóły wynikające z najświeższych badań.

Studium pań Chalmay ujęte w ciekawą formę, lekko napisane pozwala poznać wielkiego muzyka z tak słabo znanej strony jego życia, mało omawianej przez biografów. Jakkolwiek sam temat wydaje się suchy i nieinteresujący, jednak

literaturze „chopinowskiej” w ostatnich czasach.

CAŁKIEM inny charakter posiada książka słowackiego autora, żyjącego stale w Wiedniu, dr Frantiska Zagiby, docenta uniwersytetu wiedeńskiego, pt. „Chopin und Wien” (\*). Studium to również wnosi wiele nieznanych szczegółów, gdyż opiera się na materiałach skrzętnie przez autora zebranych na terenie Wiednia. Są to po części nowe, zupełnie dotychczas nie wykorzystane, a niezmiernie ważne dla biografów szczegóły.

W swej książce dr Zagiba omawia chronologicznie dwa pobyty Chopina w Wiedniu w latach 1829 i 1830 -- 1831, podając różne nieznanne lub mało znane wiadomości.

Autor przytacza również pełny tekst pierwszego — a dotychczas nieznanego — biograficznego szkicu dotyczącego osoby Chopina, który ukazał się już w r. 1836 w Wiedniu, opracowanego przez Rudolfa Hirscha pt. „Galerie lebender Tondichter”. Szkic ten zawiera co prawda pewne omyłki, jak np. rok urodzenia 1804, jest jednak dowodem, że krótki pobyt

Chopina w Wiedniu wywarł poważne wrażenie, skoro nie pominięto go w tej galerii żyjących „poetów tonów”.

Strona ilustracyjna — 25 doskonałych ilustracji na 9 planszach bardzo starannie odbitych — jest szczególnie interesująca. Przynosi prawie całkiem nieznaną materiały. Są to niepublikowane w dotychczasowych pracach o Chopinie portrety różnych osób, stąd z okresu jego pobytu w Wiedniu, jak: Józefa Slavika, dr Malfatti'ego, Leopoldyny Blahetki, młodej pianistki, którą Chopin w tym czasie żywo się interesował, Grafa i innych, dalej facsimilie rękopisów muzycznych itp. Na pierwszym miejscu figuruje anonimowy portret, dotychczas nieznaną, mający przedstawiać Chopina. Autorstwo tego portretu przypisywano młodemu Hummlo. wi Mamy jednak wątpliwość, czy rzeczywiście ten szkic ołówkowy przedstawia wielkiego muzyka.

Reasumując, należy stwierdzić, że książka „Chopin und Wien” jest cennym przyczynkiem do badań chopinowskich. Praca ta, która wkrótce ukaże się na półkach księgarskich w Polsce, z pewnością i słusznie zainteresuje szerokie koła.

Bronisław E. Sydow



FRYDERYK CHOPIN

rys. Lehmann (1817)

fototeka I.F.C.

życia Chopina. W pierwszym rozdziale zatytułowanym „Sans fortune”, jest przede wszystkim mowa o rodzicach kompozytora, przy czym autorki przytaczają bardzo ciekawe, częściowo ogólnie nieznanne, szczegóły z życia Mikołaja Chopina, ojca Fryderyka, syna wieśniaka i kołodzieja Franciszka Chopina z wioski Marainville,

dzięki wiadomościom zawartym w tej pracy, które zawsze oparte są na dokumentacji, dzięki lekkiemu stylowi, lektura tej książki jest bardzo zajmująca. Należy uznać studium to za dodatnią i bardzo pożyteczną pozycję w literaturze chopinowskiej, a pod względem źródłowego opracowania za jedną z najlepszych prac w francuskiej

## Z PRAC SEKCJI DRAMATU Z.L.P.

### „Pociąg do Marsylii”

„Pociąg do Marsylii”, druga z kolei po „Dobrym człowieku” sztuka Krzysztofa Gruszczyńskiego, wystawiona ostatnio przez teatr „Ateneum”, wzbudziła żywe zainteresowanie krytyki i publiczności. Tej właśnie sztuce poświęcono zebranie Sekcji Dramatu Z.L.P. dn. 3 II. 1952 r.

Referent, Roman Szydłowski, omówił pokrótce zalety i wady utworu. Dużym osiągnięciem autora jest przede wszystkim wybór tematu świadczący o wzroście świadomości ideologicznej Gruszczyńskiego. Konflikt postawiony został trafnie. Pisarz przeciwstawił sobie dwa obozy: zwolenników „brudnej wojny” w Wietnamie i jej przeciwników — większość mieszkańców miasteczka. Walkę tych obozów ukazał w dynamicznym rozwoju. O zrozumieniu dialektyki tego procesu świadczy stworzenie wielu postaci chwytliwych i niezdeterminowanych, których świadomość dojrzała dopiero w toku akcji (Ledoux) pod wpływem przykładu i agitacji zdecydowanych członków ruchu Obrońców Pokoju.

Napięcie dramatyczne utrzymane jest niemal w całym toku akcji i mimo zachowania jednolitego miejsca (mały mieszkański pokój w mieszkaniu maszynisty Ledoux) widz (czytelnik) jest doskonale poinformowany i może „brać udział” w tym, co się dzieje na scenie i na peronie.

POSTACIE sztuki w większości zostały skonstruowane prawdziwie i plastycznie. Najlepszy — zdaniem referenta — jest stary maszynista

Ledoux, na uwagę zasługuje postać Katarzyny, żony Ledoux, charakterystyczna przez swój kult przeciętności. Martin ma dużo sily wewnętrznej, którą potrafiłby wydobyć dobry aktor. Pełną postacią jest również Cratin; żołnierz, zwłaszcza kołunista Rigogne — znacz nie słabsi

Sztuka Gruszczyńskiego jakkolwiek na ogół dobra i interesująca posiada jednak i szereg usterek. Autor nie pokazał istotnych sprawców wojny w Wietnamie ograniczając się do scharakteryzowania wykonawców ich woli. Na przedstawieniu szczegółów zaczął brak dostatecznej znajomości realiów francuskich. Referenta niepokoi treść rozmów żołnierzy wysyłanych do Indonezji — wtedy gdy wypowiadają oni pewne poglądy, które są uzasadnieniem filozoficznym ich postawy ideowej. — Szydłowski nazywa to „podejrzanego autoramentu filozofią”. Niewątpliwym błędem Gruszczyńskiego, pogłębionym jeszcze przez interpretację teatru, jest sprawa śmierci kaprała Braquin: ani samobójstwo, jak tego chciał autor, ani tym bardziej zabójstwo Braquin'a przez porucznika faszystę Arbois nie ma sytuacji i psychologicznej motywacji.

Na zakończenie referent zwrócił się do Gruszczyńskiego z życzeniem, aby w przyszłości zainteresował się zagadnieniami krajowymi i zajął się tematyką produkcyjną.

W DYSKUSJI (po długim, długim milczeniu...) zabrał głos Roman Bratny twierdząc, że Szydłowski niesłusznie atakuje szczegóły rozmów żoł-

nierzy. Główną wadą sztuki jest „schemat językowy”, to, że autor pisząc o Francji zasugerował się typem sztuki francuskiej (błyskotliwość, aforystyczność). Schematyczna jest postać Mortina.

Flora Bieńkowska zwróciła uwagę na polityczną wymowę sztuki Gruszczyńskiego, jej rolę w walce literatury polskiej o Pokój. Poza tym dyskusantka wysunęła postulat, aby nowe sztuki, które nie są wcale łatwiejsze, aniżeli utwory repertuaru klasycznego, były dawane do opracowania teatrom dobrym, dysponującym doświadczonymi i utalentowanymi silami aktorskimi.

Zainteresowanie zebranych wzbudziła poruszona przez referenta sprawa realiów francuskich w „Pociągu do Marsylii”. Głos zabrali: Antoni Slonimski, Jeżewska i Melania Kierezyńska, która zagadnienie wierności sztuki wobec życia sformułowała w sposób następujący. To, co jest prawdą w życiu, nie zawsze może być prawdą w sztuce — i odwrotnie.

W dyskusji nad sprawą werbalizmu w sztuce M. Kierezyńska zdefiniowała pojęcie werbalizmu, stwierdzając, że występuje on wtedy, gdy słowa postaci nie pokrywają się z prawdą sztuki. Głos zabrali poza tym: Adam Tarn i Bohdan Butryńczuk.

Ostatnim punktem dyskusji była kwestia stosunku recenzenta teatralnego do aktora poruszona przez Romana Szydłowskiego, Butryńczuka i Balcickiego.

(zak)

## Z PRAC SEKCJI PROZY Z.L.P.

### Reportaż literacki

W PONIEDZIAŁEK dn. 4 II. b. odbyło się posiedzenie sekcji prozy Związku Literatów Polskich poświęcone zagadnieniu reportażu literackiego. Dokładniejszym omówieniem dwóch przykładowych pozycji — „Uwaga! Człowiek” Józefa Kuśmierka i „Początku opowieści” Mariana Brandysa — zajął się Bohdan Nimirski.

W opowiadaniach Kuśmierka (gdzie tak je nazywał, wystrzegając się terminu reportaż) widzi referent liczne pozytywne, specjalnie cenne wobec dzisiejszej sytuacji w literaturze. Zależy do nich przede wszystkim rzetelną znajomość opisywanego środowiska oraz precyzyjne wiązki klasowe z chłopem. Przeciwnie jeszcze jednej z zalet Kuśmierka — pasji w walce z krzywdą — wysuwa Nimirski pewne zastrzeżenia, twierdzi, iż doprowadza ona do trochę sztuczności i ideologicznie niesłusznego spójrzenia. Niebezpieczeństwem na drodze swego bohatera. Dlatego też często opowiadania Kuśmierka wydają się „korespondencjami interwencyjnymi” z tematu, nie pokazują więc zupełnie „pozytywnego bohatera” co jest niezgodne z linią rozwojową wsi. Spośród innych niedociągnięć omawianej książki Nimirski podkreślił niemal wyłącznie ideologiczne, a więc niezgodne z rzeczywistością, ukazanie bezbronnego i ciemnego biedaka w przeciwieństwie z mądrym kulakiem, któremu zawsze sprzyja los oraz przypadkowość i sztuczność rozwiązań (sprawcą optymistycznego zakończenia jest prawie zawsze zjawiający się „deus ex machina” — dziennikarz). W zarzuceniu Kuśmierkowi przypadkowości w doborze zjawisk referent zagłębował się trochę, na co słusznie zwróciła uwagę dyskusja. (Na pytanie, co by się stało, gdyby w jednym z opowiadań Kuśmierka nie było katastrofy kolejowej, obiecał Nimirskiemu odpowiedzieć Roman Karst, ale pod warunkiem, że ten pierwszy odowie, co by się stało, gdyby np. Człebizów nie przyjechał do gubernialnego miasta).

Sporo uwagi poświęcił Nimirski sprawie schematyzmu. Stwierdził, że mimo

schematyzmu konstrukcji, Kuśmierk nie grzeszy schematyzmem treści i postaci, co być może jest w pewnej mierze zasługą obranej przez niego formy, która dopuszcza zastąpienie ukazywania pewnych zjawisk — krótkim publicystycznym komentarzem.

W „Początku opowieści” Mariana Brandysa ujrzał referent niemal same zalety. Autor, wg. niego, uniknął kuszącego przy opisie wielkiej budowy socjalistycznej technicyzmu, nie usiłował pisać o wszystkim, lecz skoncentrował uwagę na przemianach zachodzących w świadomości człowieka, na której to drodze odniósł wielki sukces — udało mu się bowiem stopić typ z indywidualnością, pokazać prawdziwie człowieka, którego ewolucja ideologiczna nie wpływa na zmianę charakteru i temperamentu.

Ostatnia część referatu — to ustalenie stosunku reportażu literackiego (nazwanego przez Nimirskiego szkicem lub opowiadaniem) do powieści. Nimirski uważa ten pierwszy za formę niższą w hierarchii literatury. Rozpowszechnienie się jej tłumaczy potrzebą omawiania wielu zagadnień „na go rąco” (reportaż literacki jest formą bardzo pojemną i nie wymagającą tak precyzyjnego opracowania artystycznego).

W dyskusji udział wzięli: Kazimierz Koźniowski, Lucjan Rudnicki, Roman Karst, Antoni Olcha, Grzegorz Lasoła i inni. Linia podziału dyskusantów przebiegała, jak się najczęściej zdarza, między zwolennikami referatu a reprezentantami wręcz przeciwnej koncepcji, w tym wypadku obrońcami Kuśmierka (o Brandysie mówiono niewiele). Stanowisko tych ostatnich przedstawił w swej końcowej wypowiedzi sam autor. Stwierdził, że na wsi złe jest tak widoczne, że wymaga natychmiastowej interwencji właśnie dziennikarza.

Argumenty Kuśmierka można by sprowadzić do jednego: ja znam wies, a wy, kolandy krytycy — nie i dlatego właśnie były one tak przekonujące, że wprost „zamykały usta”.

B. N.



**OŁTARZ** Mariacki Wita Stwosza jedno z najwspanialszych dzieł późnogotyckiej sztuki, jest najcenniejszym skarbem naszej narodowej kultury. Zamówiony przez radę Miejską Krakowa około 1475 r. znajdował się od 1483 r. w Kościele Mariackim, w 1939 r. zrabowany przez Niemców i przechowywany w Ber-

# Dzieło mistrza Stwosza

nariusza i opracowanego jednocześnie ze scenariuszem komentarza.

Ołtarz Wita Stwosza mógł dostarczyć niewątpliwie wiele tematów. Można było zająć się nim z

było pokazać rzemiosło snycerskie, wytłumaczyć i wyjaśnić znaczenie, technikę i rozmiar prac konserwatorskich.

Wystarczyłoby tematów nie na jeden ale na kilka filmów dokumentalnych. Należało jednak zdecydować się na wyeksponowanie jednego tylko zagadnienia, i ewentualne związanie go z pobieżnie poruszonymi problemami drugoplanowymi, na jednolitą artystyczną koncepcję filmu.

To wszystko nie zostało zrobione. Chaotycznie i mimochodem poruszono niemal wszystkie wymienione problemy. Poruszono tak, że widz, który nie oglądał nigdy Mariackiego Ołtarza dowiaduje się o nim mniej, aniżeli dowiedziałby się przez jednorazowe dokładne obejrzenie całości.

Pierwsza część filmu pokazuje Kraków i jego zabytki, ale pomija Kościół Mariacki — dla którego ołtarz był zamówiony, w którym przebywał przez 450 lat, kościół, z którego architektura, wnętrzem artysta zestroił swoje dzieło, którego prezbiterium, gotyckie okna, barwne witraże stanowiły tło rozstrzygające o jego kompozycji, rozmiarach, konstrukcji, barwach.

Przejście od architektury Krakowa, od zabytków przedstwowoskiej sztuki do ołtarza, następuje zupełnie nieoczekiwanie bez wyjaśnienia konstrukcji dzieła. Widz ogląda od razu poszczególne postaci, ale oderwane od całości, nie pokazano mu bowiem struktury ołtarza, nie wyjaśniono architektonicznej specyfiki stwoszowskiego pentaptyku, nie przedstawiono kompozycji tematycznej. Film nie zajmuje się prawie treścią ikonograficzną ołtarza. Widz dowiaduje się, że ma przed sobą postaci apostołów, że ołtarz pokazuje jakieś

sceny ewangeliczne, ale nie wie ani w jaki sposób Stwosz rozwiązał koncepcję tematyczną całego dzieła ani jakie jest miejsce pokazywanych na ekranie postaci w poszczególnych scenach.

Tematem tej części miał być warsztat pracy Stwosza. Ani jednak komentator, ani reżyser (poza jedną dobrze rozwiązaną sceną z wyłaniającą się z drzewa głową apostoła) nie mówią o nim nic prawie poza tym, że figury środkowej części zostały wykonane z olbrzymich pni lipowych. Dalej nie wiemy nic o technologii ołtarza. Z czego jest całość szaty? Jak montowana była cała potężna konstrukcja? Jak rzeźbione, cyzelowane i barwione były poszczególne postaci? Na czym polega polichromia?

**NAJJAŚNIEJSZA** i najlepsza jest trzecia część filmu podkreślająca realistyczny charakter rzeźb, wskazująca źródła obserwacji artysty, wyjaśniająca wierność utrwalonych przez rzeźbiarza szczegółów byczajowych i szczegółów kultury materialnej późnego średniowiecza.

Jasność koncepcji tych fragmentów, wartość podanych przez komentatora i pokazanych w filmie informacji psuje jednak niedostatek poprzednio podanych wiadomości.

Spodziewamy się jakiegoś podsumowania przeglądu całości, spóźnionego ale jeszcze mogącego „uratować” koncepcję realizatorów. Nieoczekiwanie jednak pokazano zamiast tego ludzi przyglądających się rozmontowanemu rzeźbom, wspomniano o pracach konserwatorskich, spróbowano przy pomocy okrągłych frazesów wytłumaczyć rolę Ołtarza Mariackiego dla współczesnej twórczości artystycznej. To sztucznie doczepione, artystycznie

nie zestrojone z całością, zakończone nie sprawia wrażenie jakiegoś wielkiego, nieopiętowanego filmowego frazesu i jest jakimś nieporozumieniem i artystycznym i kompozycyjnym.

**FILM** o dziele mistrza Stwosza jest potrzebny. Ołtarz Mariacki powinien zostać filmowo wyjaśniony, zbliżony, skomponowany. Nie można było jednak liczyć na to, że wielkie dzieło sztuki wystarczy sfotografować, zarejestrować przy pomocy kamery detale, a potęgę artystycznej ekspresji filmowanego przedmiotu sama zdecyduje o wielkości filmu.

Widz ma prawo oczekiwać od filmu, by dał mu co najmniej tyle (a powinien dać więcej), ile dał bezpośrednio obejrzenie Ołtarza.

Realizatorzy filmu mogli skorzystać z wielu doświadczeń w tej dziedzinie filmu dokumentarnego, mieli wzory radzieckich filmów o dziełach sztuki rosyjskiej, filmów francuskich (Van Gogh, Watteau), niemieckich. Mieli okazje zupełnie wyjątkową i niepowtarzalną (rozmontowanie ołtarza), by zrealizować film naprawdę cenny, wzbogacający naszą wiedzę o Ołtarzu, popularyzujący jego wielkość, ukazujący jego piękno.

Błędy filmu nie są jakimiś drobnymi potknięciami, błędami rzemiosła, ale są wynikiem nieprzemyslenia całości, są wynikiem lekkomyślnego stosunku do zadania, które było bardzo poważne: stworzenia filmu dokumentarnego o najcenniejszym zabytku naszej narodowej kultury.

Świadomie nie zajmuję się tutaj nieporadnością rzemiosła, statycznością filmu, operowaniem sumą jednakowo oświetlanych i sfotografowanych z jednego planu zdjęć, uważam bowiem, że te niedociągnięcia są wynikiem podstawowego błędu filmu: nieopracowania precyzyjnej koncepcji całości.

Leszcz



linie, później w Norymberdze, został rewindykowany w 1946 r., umieszczony w specjalnych salach na Wawelu, gdzie poddano go gruntownym pracom konserwatorskim.

Prace trwające 4 lata pozwoliły nie tylko usunąć uszkodzenia, zbadać i odtworzyć dawną polichromię, ale także umożliwiły drobne badania szczegółów ołtarza, udostępniły go kamerze fotograficznej i filmowej. Była to jedyna w swoim rodzaju okazja do wykonania fotografii fragmentów i do stworzenia filmu o arcydziele mistrza Stwosza.

Realizatorzy Wytwórni Filmów Dokumentalnych: reżyser S. Możniński i operator S. Sprudin, jak także Irena Bielińska w 5 nr tygodnika „Film”, chcieli „przekazać” widzowi zarówno specyfikę, jak i wielkość i piękno dzieła Wita Stwosza”. Aby tego dokonać podzielili film na 4 części. Pierwsza miała pokazać widzowi Kraków, zabytki architektury z okresu przybycia germanicznego snycerza do Polski, druga powinna być przez analizę poszczególnych postaci pokazać wartość pracy Stwosza, trzecia miała przedstawić specyfikę realizmu stwoszowskiego, i czwarta wreszcie — wyjaśnić rolę ołtarza w rozwoju naszej narodowej kultury.

Ambicje i zamierzenia twórców filmu były duże, i powiedzmy od razu nie dość sprecyzowane na to, aby je można było zamknąć w ramach jednego krótkiego filmu. Każda z planowanych części mogłaby być szkicem scenariusza oddzielnego filmu. Każda wyeksponowana jako temat, wymagałaby dokładnego opracowania, konsultacji fachowców, precyzyjnego scenariusza i komentarza. Stłoczenie tylu zagadnień jednocześnie musiało odbić się na konstrukcji filmu, zdecydowało o jego powierzchowności, chaotyczności, niejednołitości.

To przeładowanie tematyczne było błędem samego założenia.

**DRUGIM** równie poważnym, jeśli nie poważniejszym niedociągnięciem jest chaotyczność metody pracy nad filmem. Został on zrealizowany według ogólnego tylko planu, bez obmyślenia z góry w najdrobniejszych szczegółach scen-

punktu widzenia historyka, określając jego miejsce w historii sztuki, jego wpływ na sztukę narodową, można było przy pomocy plastyków i historyków zająć się nim jako arcydziełem sztuki religijnej, można było konsultując plastyków przeprowadzić analizę formalną, wskazać i wyjeźnić plastyczne walory stwoszowskiej rzeźby, można

## OSIĄGNIĘCIA I PERSPEKTYWY

(Dokończenie ze str. 3)

siennych, co niewątpliwie może mieć ujemny wpływ na realizację planu w roku 1952.

Nie tylko jednak przyczyny obiektywne były powodem załamania się rolnictwa. Raczej wpłynęły one na pogłębienie trudności wyrosłych z przyczyn tkwiących w strukturze rolnictwa i niedostatecznie unowocześnionych sposobach gospodarowania.

Przebudowa struktury społeczno-ekonomicznej wsi jako czynnik najważniejszy dalszego jej rozwoju i likwidacji trudności jest w znacznym stopniu uzależniona od umiędzynarodowienia psychicznych oporów chłopstwa, który nie zawsze dostatecznie szybko dostrzega istotę zachodzących przemian.

**ZWRÓĆMY** jeszcze uwagę na trzeci podstawowy dział produkcji — na budownictwo. Plan produkcji przedsiębiorstw budowlano-montażowych wykonany został w 111 proc., a wartość produkcji wzrosła o 53 proc. w porównaniu z rokiem 1950. Należy podkreślić, iż był to także olbrzymi wzrost jakościowy a nie tylko ilościowy. Wybudowano bowiem w r. ub. dziesiątki nowych, olbrzymich zakładów produkcyjnych, dziesiątki tysięcy nowoczesnych izb mieszkalnych, odda no do użytku liczne szkoły, sklepy, ośrodki zdrowia.

A jednak i tu było także wiele błędów i niedociągnięć, co spowodowało znaczne straty materiałów i sił ludzkich. Szczególnie trudnym pozostaje zagadnienie dokumentacji technicznej. Biura projektowe często nie nadążają za produkcją budowlano-montażową. Zbyt mało zwracano uwagi na kontrolę realizowanych projektów i wyciąganie

konsekwentnych wniosków na tej podstawie.

Inwestycje są dziełem długotrwałym i dlatego muszą być oparte na projektach dobrze opracowanych i unowocześnionych, aby już najbliższa przyszłość nie wykazała ich nieprzydatności.

Budownictwo nasze przeżyło w r. ub. burzliwy rozwój techniki budowlanej, technologii i organizacji pracy. Szybkościowe budownictwo, stosowanie elementów prefabrykowanych, pianobeton, betony strunowe, płyty spłasnione i inne materiały należą do niebywałych sukcesów w dziedzinie oszczędności i wydajności pracy.

Wszystkie te czynniki stały się źródłem obniżki kosztów własnych o 4,6 proc. Zagadnienie obniżki kosztów postawione zostało mocno w roku ubiegłym i pozostaje aktualne na rok bieżący, gdyż wykryto jeszcze znaczne rezerwy w wielu miejscach.

Pozytywnym osiągnięciem ub. r. jest jeszcze fakt wykonania planu akumulacji i zamierzonego wskaźnika obrotu pieniężnego. Emisja banknotów w końcu 1951 r. utrzymywała się na wysokości przewidzianej planem i odpowiadającej masie wyprodukowanych i rzuconych na rynek towarów, które stanowią jej pokrycie.

**Z PRZYTOCZONYCH** wyżej danych i faktów wynika jasno, iż główny nacisk w planie na rok 1952 winien być położony na produkcję rolną i rozwój rolnictwa. Tak też jest w istocie.

Uchwała Prezydium Rządu powzięta w dniu 2 lutego rb. o projekcie Narodowego Planu Gospodarczego na 1952 r. i Projekt Ustawy

przedłożony pod obrady Sejmu są tego dowodem.

Projekt N.P.G. na rb. przewiduje w dziedzinie przemysłu i budownictwa dalszy konsekwentny rozwój, w myśl początkowych założeń uprzemysłowienia kraju, ze zwróceniem szczególnej uwagi na zeszlazoroczne niedociągnięcia. Globalna wartość produkcji przemysłowej w 1952 r. będzie wyższa od przewidzianej na ten rok w Planie 6-letnim o 16,3 proc.

Powstaną nowe obiekty przemysłowe, ruszą nowe siłownie energetyczne w Jaworznie, Poznaniu, Zabrzu, oddane zostanie do użytku około 118 tys. izb mieszkalnych, we wszystkich dziedzinach nastąpi nowy olbrzymi rozwój techniki. Rok ten, mający zamknąć pierwszą połowę Planu 6-letniego, będzie w znacznym stopniu decydującym o naszym zwycięstwie.

Specjalny nacisk położony zostanie na zagadnienie rolnictwa. Plan na 1952 r. nie przewiduje pełnego odrobienia strat zeszlazorocznych m. in. dlatego, że skutki posuchy miały ujemny wpływ na stan oziminy, a niedobór ziemniaków wpłynie na kłopoty paszowe. Stan pogłowia również nie da się zwiększyć nieograniczenie w ciągu jednego roku.

Wzrost produkcji rolnej zatem powinien przy sprzyjających warunkach klimatycznych wzrosnąć o 8,1 proc. w porównaniu z rokiem 1951 czyli ma stanowić 97,3 proc. zadań przewidzianych na ten rok w Planie 6-letnim. Plan przewiduje dalej środki i drogi realizacji powyższych zadań.

Przed wszystkim utworzono specjalny fundusz siewny, w ramach którego gromadzone są rezerwy na wózki azotowe dla zasilenia pól-

nych oziminy i materiał siewny do siewów wiosennych, które zostaną rozszerzone o 584.000 ha.

Następnie plan przewiduje wzrost wydajności z ha na skutek położenia nacisku na lepszą uprawę. Stosowanie naukowego płodozmiennictwa (przedplony, poplony, międzyplony), bardziej racjonalne wykorzystanie parku maszynowego, rozwój prac melioracyjnych, zwłaszcza w dziedzinie konserwacji i odbudowy istniejących urządzeń, większe zastosowanie nawozów sztucznych i naturalnych, rozwój nasiennictwa oraz walkę ze szkodnikami i chwastami w dużej mierze przy zastosowaniu środków chemicznych. Dla hodowli przewiduje się rozbudowę sieci przychodni weterynaryjnych i odpowiednie zaopatrzenie w środki lecznicze. Poza tym nastąpić ma dalszy rozwój spółdzielczych form gospodarowania.

Wprowadzenie nowych osiągnięć naukowych we wszystkich dziedzinach gospodarczych oraz wzrost wydajności pracy wpłynie na obniżkę kosztów własnych, co z kolei spowoduje wzrost dochodu narodowego i socjalistycznej akumulacji. Te zadania wymagają wysiłku nie mniejszego niż w roku ubiegłym. Stoimy obecnie na drodze równie trudnej i ciężkiej, której pomyślne osiągnięcia mają zdecydować o naszym zwycięstwie gospodarczym.

Pomyślne wykonanie planu tego roku będzie dowodem naszej dojrzałości społecznej i zrozumienia wspólnoty interesów marksistów i katolików w dziedzinie społeczno-ekonomicznej. Zgodny wysiłek wszystkich będzie nową cegłą w gmachu pokoju światowego i fundamentem dobrobytu społeczeństwa.

Leonard Barszczewski



Józef SZCZAWIŃSKI

# Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

**WYSTAWIENIE** „Horsztyńskiego” przez łódzki „Teatr Nowy” przyjęte zostało jako wydarzenie dużej miary w naszym życiu teatralnym i nie pozbawione pewnej sensacji.



Państwowy Teatr Nowy. Scena z aktu I „Horsztyńskiego”. J. Słowackiego. Reżyseria: Janusz Warmiński. Scenografia: Józef Rachwański. Na zdjęciu: F. Minz i A. Daniewicz. Foto F. Myszkowski.

Teatr Nowy jak wiemy wystawiał dotąd wyłącznie sztuki współczesne. Robił to z większym lub mniejszym powodzeniem, robił jednak rzetelnie, dbając zarówno o efekt artystyczny jak i o rzeczywistą interpretację tekstu. Jako teatr o wyraźnie sprecyzowanych założeniach ideowych, musiał legitymować się realizacją tych założeń, co osiągał zarówno przez dobór repertuaru, jak przez jego interpretację sceniczną. I przytoczyć trzeba, że tę zasadniczą linię swej pracy konsekwentnie kontynuował. Sprawa była zresztą dość prosta, dopóki treść ideowa sztuk pokrywała się z ideologią artystyczną wyznawaną i reprezentowaną przez zespół.

Sięgnięcie wstecz, do epoki łanej, stworzyło dla młodego teatru poważne niebezpieczeństwo. Można było otwierać się, że inscenizatorzy pójdą drogą łatwą, lecz wiodącą wprost na manowce.

„Horsztyński” jest tworem powstałym w okresie, gdy Słowacki najbardziej zbliżył się do ówczesnych ruchów rewolucyjnych. Zagadnienia społeczne szczególnie głęboko obchodziły wówczas poetę. Tym tłumaczyć można nie tylko tematykę ale i atmosferę utworu Słowacki powiązał perypetie bohaterów z ówczesną sytuacją warstw społecznych oraz z losami kraju. Dlatego też lekceważenie indywidualnych wątków psychologicznych na rzecz silnie zarysowanej lecz nie występującej wyłącznie i w odosobnieniu problematyki społeczno-politycznej, byłoby artystycznym fałszem. Teatr Nowy fałszu tego uniknął mimo wyraźniejszego niż praktykowane w dotychczasowych inscenizacjach tego dramatu, wydźwięku i pokazania kwestii społecznej, co było zresztą słuszne i zrozumiałe. Zmiana tytułu nie będącego zresztą oryginalnym, podkreśla wspomniane tendencje realizatorów. Nowy tytuł jednak spełnia tylko częściowo swe zadanie, bardziej koncentrując uwagę widza na skłóconej wewnętrznie, konfliktnym Hetman — Szczęsny, maguackiej rodzinie Kossakowskich.

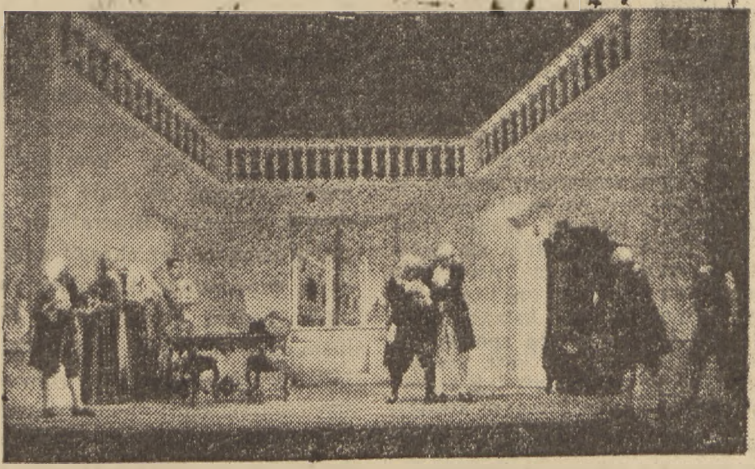
**N**AJWIĘCEJ materiału do dyskusji dostarczyć może postać Szczęsnego. Jednym z zamierzeń inscenizatorów było bez wątpienia pokazanie w scenach końcowych zejścia hetmanowicza na pozycje klasy, z której wyszedł, widocznym, jak dalece środowisko, z którego wyrósł, zaczęły nad jego postawą ideologiczną i polityczną. Nie należało natomiast zapominać o jednym. Wielu dekabrystów rekrutowało się z kręgów arystokracji, w bliskim wówczas Słowackiemu ruchu karboński na Zachodzie. Inni brali udział i jednostki wywodzące swój rodowód z „klasy gniazdej”. Oczywiście wpływy środowiska lekceważyć nie wolno, jednak obecność stanowisko Szczęsnego tłumaczy również należy słabością charakteru oraz typem jego psychiki.

Wpływologiczna ekwilibrystyka uprawiana swojego czasu przez niektórych historyków literatury nazywających Szczęsnego — polskim Hamletem, ciążyła chwilami na typem gry Tadeusza Minza, zaznaczam — nad typem gry — nie nad interpretacją postaci ujętą całościowo. Moim zdaniem młody Kossakowski daleki jest od „nowo odczytanego” Hamleta, a wiele łatwiej odkryć w nim powinowactwo z Oniegiem Braku zdecydowania, słabość wewnętrznej, nie okryje nawet dopisana scena, w której Szczęsny rozpuszczając do domów zebraną szlachtę przeciwstawia się woli ojca. Ta decyzja, a nie jej konsekwencje, których nie mógł Szczęsny przewidzieć, była w rzeczywistości ucieczką. Hetmanowiec sprzeniawierzył się rewolucji, z którą łączyło go niewiele, stał się w swoim mniemaniu pośrednim sprawcą śmierci ojca — wroga tej rewolucji. Nie mającemu oparcia w żadnej ideologii, nie posiadającemu żadnej „filozofii”, w której mógłby szukać schronienia, pozostaje tylko jedno — nowa ucieczka — tym razem osłateczna.

I nie zgodziłbym się z Edwardem Csato („Teatr” nr 1 „Nowy Horsztyński”): że wysadzenie zamku jest protestem przeciw ludowi, jest aktem zdrady i nienawiści. Szczęsny rozumie, co prawda, że teraz po rozmowie z Jasińskim, po śmierci ojca znalazł się po drugiej stronie barykady. Ale tam gdzie są tylko — pseudorewolucyjne frazesy — nie może być mowy o zdradzie. Syn hetmana był zawsze — człowiekiem na uboczu, nie wiedział zresztą, czym właściwie jest. Gdyby w grę wchodziła nienawiść, wysadziłby zamek, ale wraz z rewolucjonistami. Na to się nie ważył, o tym w ogóle nie myślał i dlatego bronił postaci Szczęsnego w interpretacji Tadeusza Minza, przeciw recenzentom, którzy chcieli by ją widzieć jako indywidualizm ciemny, lecz wykute z jednej bryły.

**H**ORSZTYŃSKIEGO trafnie odtworzył Soweryn Bułrym pokazując człowieka, którego cierpienie z powodu kalectwa ucięższyło się, nieszczęście pozwoliło na cofnięcie się w siebie. Twarz niewidomego zastępyła w maskę spokoju, która szczelnie pokrywała konflikty dziejące się wewnątrz człowieka, dlatego twarz ta mało się zmieniła nawet wtedy, gdy nowe nieszczęścia wały się na starca, nawet wtedy, gdy podejmował decyzję samobójstwa.

Hetman Stanisław Bryliński, mimo zarzutów skierowanych, przeciw tej koncepcji aktorskiej, wydaje mi się jednak postacią dobrze zinterpretowaną. Buja, okrucieństwo, pycha i bezwzględność są uwidacznione trafnie. Bryliński zdążył pokazać jeszcze coś więcej, Postać Kossakowskiego napię-



Państwowy Teatr Wojska Polskiego. Scena Zbiorowa I aktu sztuki Goldoniego „Sluga dwóch panów”. Reżyseria: W. Kawaskowski, scenografia: Leo Gal, muz. T. Kiesewetter. Foto J. A. F. Kuczkowski.

nowana jest niepokojem, który zawsze towarzyszy zbrodniarzom — kto wie, czy tu nie leży silny akcent moralny sztuki. To nie tylko sięgnięcie do romantycznej rekwizytorni, to również pokazanie odwrotnego motywu zła wionych i zagłuszonych wyrzutów sumienia, które niki wyraz znajdują w niepokoju złych przeczuć.

Z pozostałych ról, o których wspomnieć należy, to obok postaci niezna-

mego rozbitej na dwie osoby (Nieznajomy I — Adam Daniewicz, Nieznajomy II — Leopold Schmaus) trafnie i realistycznie odtworzona postać Karla (Bogdan Baer) nieco zbyt farsowo potraktowany Siorka (Janusz Kloński); prawdziwie, wdzięcznie i wzruszająco zagrana rolka Maryny (Halina Sobolewska).

Poza tym postacie kobiece raczej zawiodły. Sally (Danuta Korolowicz) wypadła zbyt bezbarwnie, zupełnie zawiodła Irena Dejmek w roli Amelii i to zarówno pod względem gestykulacji, mimiki jak i dykcji. A szkoda, bo Amelii poświęcona jest jako doskonale tło dla sylwetki Szczęsnego.

Scenografia Józefa Rachwańskiego spotkała się z wielu zarzutami. Recenzenci podkreślają na ogół rozmach w koncepcji scenograficznej, „staranność i pracowitość” wykonania, atakują natomiast nie umieszczenie dekoracji w epoce, „kontrast artystycznych mebli i zbroi — z niespodzianą nową strukturą wnętrza”. Zarzuty te mają bezwzględnie swe uzasadnienie, lecz przyczyną leży i w koncepcji reżyserskiej, z którą dekoracje są zgrane, a która jak słusznie zauważył Edward Csato „odromantycznia” spektakl.

Przedstawienie „Horsztyńskiego” trwało bite cztery godziny. Przez cały ten czas na dość różnorodnej społecznie widowni nie spostrzegłem oznak znużenia lub znudzenia. Ten drobny ale charakterystyczny fakt dobrze świadczy o inscenizatorach i aktorach, dobrze również świadczy o obsłudze technicznej sceny, która zmieniła dość skomplikowane dekoracje w tempie naprawdę rekordowym.

X

Carlo Goldoni, jeden z najwybitniejszych komediopisarzy włoskich, reformator włoskiego teatru, jest obecnie częstym gościem na naszych scenach. I słusznie. Lekkość, wdzięk i humor jego sztuk, treści społeczne umiejętnie wplecione w tło komediowe, zbliżają współczesnemu widzowi XVII-wieczną sztukę dramatyczną Wenejanina.

Teatr Wojska Polskiego wystawiając „Slugę dwóch panów” zdobył szczerze wywołane wspomniane zalety. Dobrze uwydatnione humor sytuacyjny, pokazanie tendencji społecznych, ubarwienie widowiska w oparciu o świetne jak zwykle dekoracje. Iwo Galia (szczególnie akt I) to wszystko tłumaczy powodzenie z jakim spotkała się ta komedia wśród publiczności łódzkiej.

Ruch, podbudowujący humor sytuacyjny o az dyskretna i dobrze zharmonizowana z akcją muzyka Kiesewettera dopełniły wrażenia.

Gra aktorska żywa i wyrównana. Truffaldino w interpretacji Emila Karwicza nieco wyrwany z tła przedstawienia i czasowego. Mamy tu do czynienia raczej z wesołym ewanżykami warszawskim niż z włoskim strażącym sprzed 250 lat. Ten drobny zarzut kieruję pod adresem reżyserii, która poza tym dobrze i umiejętnie wydobyla wspomniane już cechy komedii Goldoniego.

Józef Szczawiński

## WIECZORY POD LIPĄ

### O grafomanach i grafomanii

**R**OZMAWIALISMY poprzednio o możliwościach racjonalnego spożytkowania grafomanii („grafomaniacizma” — jak proponowałem wtedy). Powróćmy dziś do spraw poprzednio poruszonych, omówimy je szerzej i dokładniej. Postaramy się usunąć pewne nieporozumienia i przesady zaciemniające problematę grafomanii, a przy następnej okazji opowiemy sobie to i owo na temat jaklografii, pamiętnikarstwa i innych godnych uwagi spraw z pogranicza literatury i życia praktycznego.

Zaraz na wstępie muszę przypomnieć zastrzeżenie, jakie zrobiłem już poprzednio: grafoman grafomaniowi nie równy. Oczywiście, komuś, komu się ubzdruło, że przyszedł na świat po to, by wzbogacić literaturę w dzieła będące „pokrytycznym pamiętnikiem Noego z okresu żegluga w arce (co gorsza — znając jako tako mentalność grafomanów — przypuszczać można, że dzieło to będzie nosiło tytuł — „Arka Przymierza”), nie już prawdopodobnie nie pomoże. Grafoman psychopata jest głuchy na wszelkie perswazyje i dobre rady. On jest zapoczątkowanym wieszczem, ma misję do spełnienia, tępa i „zmaterializowana” współczesność go nie rozumie, ale za sto lat na każdym rynku w Polsce będzie stał jego pomnik. Taki typ może być interesujący już tylko dla psychiatrów.

**B**YWAMA jednak grafomani pozbawieni po prostu daru nadawania swoim pomysłom i wzjom kształtu artystycznego. Brak im sprawności realizacyjnej. Próbuja prozy, poezji, dramatu, rzucają się na publicystykę, posyłają swoje próby dyrekcjom teatrów, redakcjom czasopism, znaniom i nieznanym literatom. Często nawet do wiadują się, „coś w tym jest”, ale że jeszcze nie to, co trzeba, że „nieodpracowane”, „nieodszlifowane”, „nieodkształtowane”. Bagatel! O nie innego, tylko o te właśnie odrobiny chodzi! Tęgo, akurat tego oni nie polrajają! Od lat już stoja przed gwałtem Sztuki, jak Achaizowie pod murami Ilionu i marzą o jakimś „przemadrym” Odyseuszu, który znajdzie sposób wprowadzenia ich tam, do wnętrza. Ale sposobu takiego nie ma i być nie może, gdyż — jak powiada Staff:

Darmo mozolisz się, bładu,  
I kurzem książkę mógłbyś uczysz,  
Nie dasz, nie spieszysz mi, rady,  
Bo tego się nie nauczysz.

Oto są ci, którzy próbują, starają się, ci aktywni, wciąż karnując się nadziejają, że może za chwilę... że może jutro... „Bania poezji” kotłuje się nad ich głowami, lśni, polyska, analizuje, kusi, mami, zdaje się przyrzekać objitość, pełnię, nudmar, ale — psiakość! — nie poka.

**P**ROCZ tych wiecznie próbujących i wiecznie zawiedzionych dość jest takich, którzy spróbowaśszy raz i drugi, odrzuceni z kwitkiem, położyli uszy po sobie i już tylko marzą, tylko śnią o zdradliwej Muzie kusieliwie (ci są o tyle ważni i pożyteczni, że czasem czytają nie tylko powieści ale i poezje. Trafiają się wśród nich nawet tacy, którzy kupują toniki wierszy).

„Pracownicy” literaci, co już dochrapali się leg tymacji związkowej i paru „pozycji bibliograficznych” patrzą na tych wszystkich „niedokonyanych” z niezływą pobłażliwością i zażenowanym współczuciem, jak normalni, zdrowi i na ciele i umyśle członkowie rodziny na swego niewydarzonego kuzyna, trochę parubiego, trochę kulawego i tępowosążonego zaleździe w cztery i pół kłepki. Ale dlaczego właśnie tak? Aż, powiedzcie, dlaczego? Otóż dlatego, że nie mogą usunąć ze swej świadomości poczucia dalekiego ale przecież niezaprzerzalnego pokrewieństwa z tymi, co zostali z tamtej strony drzwi.

Pokrewieństwo? Na czym ono polega? Aby to wyjaśnić, musimy zająć się jeszcze jedną i to bardzo osobliwą kategorią handylulaw na artystów. Są to ci, w których ambicje twórcze nie wyszły nade ze stanu czystej potencjalności. Niektórzy z nich są miłośnikami sztuki, kolekcjonerami jej dzieł, ale wielu nie uprawia nawet tych pośrednich form wężyczenia się estetycznego. Z dziedzin sztuki łączą ich jedynie SEN. Tak sen, bo jak wykazała badawia psychologów ze szkoły Freuda, monopolu na sny „artystyczne” nie posiadują bynajmniej ludzie sztuki. Często szarzy pospolitacy, zgola „filistym”, miewają sny, takich pozazdrościł by im mogli Poe, Hoffmann, Kafka, Bruno Schulz. Niezwyklowawie, czy to nawet, wskutek znalezienia się w specyficznych warunkach życia itp., wpartie zupełnie poza próg świadomości impulsy tworzenia artystycznego prz chodzą do głosu we śnie. Na jawie mimikryzują się one zazwyczaj, a iluzują urominowo. Wustarczącyby jednak podlubił nieco w najrozmaitszych objawach życia jak np. różne praktyczne zastosowania tzw. „dobrego gni:” (w . . . . . w estetyce wnp.rz. urządzaniu . . . . .).

jak różne formy snobizmu czy manii kolekcjonerskiej, jak upodobanie do tworzenia rozmaitych „planów życiowych” i kształtowania swojej osobowości na jakis określony wzór, jak półświadome stylizowanie własnego zachowania się w rozmaitych „poetycznych” sytuacjach (miłość, żaloba, okoliczności, w których należy okazać współczucie czy wzruszenie itp.), aby odnaleźć w nich rudymenty sztuki, ślady działań o zamiarze niewątpliwie artystycznym. Nie mało takich incognito występujących pierwiastków artyzmu odnależlibyśmy w stylu życiowym oraz koncepcjach wielkich odkrywców, uczonych, możów stanu, mistyków, a również... głośnych awanturników i przestępców.

**D**ZIEDZINA bowiem tego, co Irzykowski nazywał „poezją”, a co raczej należałoby nazwać sferą impulsów i działań estetycznych, jest nieporównanie szersza niż dziedziną przeżywanym z tworzeniem i „konsumowaniem” dzieł sztuki. W tej właśnie sferze tkwią korzenie zarówno najszlachetniejszej literatury jak i najniebezpieczniejszej grafomanii. I dlatego żaden Goethe nie będzie mógł nigdy odziedziczyć od pokrewieństwa z ząną panią Curtis-Mahler, żaden Słowacki nie uchroni się przed kuzynowskiimi uprzejmościami ze strony rozmaitych Soteroów Rozbickich Od Homera po Ireneę Zarzuka, od Sofoklesa po Wallace’a jedna jesteśmy rodziną, my wszyscy homines de lettres — i nie ma na to żadnej rady. Oczywiście, można a nawet i trzeba to grono jawnie jakoś posegregować, zastosować do niego różne systematyzacje i hierarchizacje, ale będą one miały zawsze wartość czysto pragmatyczną i jeśli się tylko ktoś uważnie, będzie je mógł z takich czy innych względów zakwestionować.

Czy widzicie, jak niepokojąco i ciekawie zarazem przedstawia się z tego punktu widzenia zagadnienie grafomanii? Jakie kompleksy problematyczne, psychologiczne, socjologiczne, kulturowe wiążą się z faktem jej istnienia? Czy nie dostarczacie teraz, iż próby ustalenia granic pomiędzy nią a literaturą zawodzą dlatego, że w rzeczywistości, patrząc od strony faktów a nie teorii, taka granica w ogóle nie istnieje? Różnice między literaturą a grafomania to różnice STOPNIA, różnice ilościowe.

Ala nie chodzi mi bynajmniej o rehabilitowanie grafomanów, a zwłaszcza rehabilitowanie ich kosztownymi literaturami. Zagadnienie to interesuje mnie od strony praktyczno-życiowej, od strony losu konkretnego, żywego człowieka. Oto ktoś próbuje wdrapać się na wyższy szczebel egzystencji, stać się współtwórcą kultury, pomnożyć iem skarbcza sztuki polskiej. Tak mu się przywidziało i dlatego napisał raz jeszcze (tęko że znacznij gorzej) „Wesele” i „Sonety Krupski”. Smiech na sa!i! „Dzięk na sto dwa”, jakby powiedział pan Piecyk.

**N**O TAK, im większa rozpiętość między wzorem a jego naśladowaniem, tym większe nasilenie śmieszności. Zwróćmy jednak uwagę na to, że śmieszny, chybotliwy w samum zamierzeniu, skazany na niuanakłone spartaczenie w wykonaniu utwór jest przecież tylko rezultatem, konsekwencją podstawowego błędu autora. Błąd zaś polega na braku związku między utworem a własnym życiem psychicznym nieszczęsnego „twórcy”. Próbowal on przez naśladowanie zewnętrznych cech czystego dzieła wejść w cudzą świat mości, idei, koncepcji artystycznych. Tu tkwi zasadnicza przyczyna jego porażki — i ona jest obiektywnie ważna i godna uwagi, a nie sam niewydarzony utwór, zewnętrzne jej odbicie, utwór — w gruncie rzeczy — produkt. Błąd autora był błędem moralno-intelektualnym, nieodwodnieniem literackim — jedynie konsekwencją tego błędu.

To trzeba mieć przede wszystkim na względzie przy analizie i wycieku ówczesnej grafomani i pisarstwa. Nie warsztat literacki zawałł w tym wypadku, ale człowiek. Rzecz w tym, aby uszczadnić rozczarowanemu kandydatowi na pisarza, że punktem wyjścia dla jego twórczości powinien być on sam, powinnu być sprawą jak najmniejszą i jak najbardziej bezpośrednio go obchodzącą. Niech spróbuje od tej strony, a dopiero wtedy będziemy mogli orzec: grafoman czy nie grafoman?

I może wtedy facet, poszedłszy po rozum do głowy, siedzie znów przy stole i na odrębnej stronie swych wynimanych rękopisów opisze przebieg życia, jakie składał w interesie ówczuch mianowanych arcydzieł maladorom literatury. I to opisze tak „na sto dwa”? I stworzy jakiś swoisty odpowiednik „Memoriałów” Beaumarchais’a, który przecież też zaczynał od produktowania zlej literatury?

Bogumił Kolea



# ŻYCIE MUZYCZNE WARSZAWY

## KONCERT MUZYKI KAMERALNEJ

**P**ONIEWAŻ Filharmonia Warszawska przeszła obecnie na system trójkowy (trzy koncerty w miesiącu zamiast dotychczasowych czterech) tygodniową lukę muzyczną wypełnił w lutym udany koncert muzyki kameralnej Beethovena. Myśl, jeżeli to jest myśl a nie przypadek, godna pochwały i kontynuacji. Linia repertuarowa stołecznej Filharmonii podniosła się znacznie w porównaniu z początkiem sezonu tak, że każdy z ochotą zgodzi się na tę zmianę ilości na jakość, a wprowadzenie stałych, odbywających się co najmniej raz w miesiącu, koncertów muzyki kameralnej wydaje się koniecznym warunkiem rozumnej polityki kulturalnej. Od zespołów amatorskich i wokalistyki przez operę i koncerty symfoniczne wiedzie droga do najtrudniejszej, najbardziej absolutnej muzyki kameralnej i na niej zamyka się krąg doświadczeń muzycznego odbiorcy.

Koncert poświęcony był kameralnej muzyce Beethovena. Krakowski kwartet smyczkowy: Stanisław Taurós, Zbigniew Szezer, Tadeusz Gonet i Zofia Adamska wykonał dwa

kwartety — Nr 1 z op. 18 i Nr 3 z op. 59. Kwartety stanowią w twórczości Beethovena szczytowe osiągnięcie i słusznie stawiane są obok jego symfonii. Zespół krakowski brzmiał czysto i pewnie. W pierwszym kwartecie doskonale zrobiona była partia pierwszych skrzypiec dominujących nad resztą, w czym przejawia się wpływ Haydna. Ostatni (trzeci) kwartet z op. 59 pochodzi z późniejszej epoki twórczości kompozytora, już po napisaniu Eroiki i najwybitniejszych sonat fortepianowych. W tym kwartecie wydołał zespół krakowski wszystkie orkiestralno-koncertowe pierwiastki przy podkreśleniu jej monumentalnej symfonicznej niemal formy.

Bolesław Woytowicz odegrał z właściwym sobie chłodem, umiarem i zmysłem konstrukcji dwie sonaty fortepianowe op. 13 tzw. Patetyczną i op. 27, tzw. Księżycową.

Organizacja Artosu raczej dobra, należałoby tylko skasować dowożenie windy spóźnionych melomanów na balkon, co wprowadza w muzykę kameralną niezamierzone efekty perkusyjne.

Publiczność przyjęła świetny kwartet i solistę raczej chłodno. Pewne usprawiedliwienie stanowi fakt, że koncert odbywał się w Muzeum Narodowym wśród marmurów.

Zastępca

## BACH I RIMSKIJ-KORSAKOW W FILHARMONII

**P**ODCZAS gdy poprzedni koncert symfoniczny zawierał w swym programie utwory na ogół jednorodne, choć nie należące do jednej epoki, to ostatni koncert symfoniczny Filharmonii Warszawskiej (15 i 17 lutego) objął utwory kontrastujące: pierwszą jego część wypełniły dzieła Jana Sebastiana Bacha (1635—1750), drugą Mikołaja Rimskij-Korsakowa (1844—1903).

Orkiestrze Warszawskiej Filharmonii lepiej odpowiada muzyka tego ostatniego aniżeli muzyka Bacha. Toteż mimo że „Szeherazada” roi się o trudności, jakie orkiestra musi pokonywać na każdym kroku, utwór ten wykonany został bardzo dobrze — zarówno dzięki wysokiemu poziomowi gry członków zespołu, jak i pracy dyrygenta, Wi-

tolda Rowickiego. Poprowadził on orkiestrę z właściwym sobie umiarem i swobodną pewnością, pod którą wyczuwa się doświadczenie i rzetelną wiedzę.

Solistki koncertu, Irena Dubiska i Eugenia Umińska wykonały jeden z najspanialszych utworów Bacha, koncert d-moll na dwoje skrzypiec. Wyrównana — choć interpretacyjnie nie zawsze zgodna — gra obu artystek świadczyła o głębokim przemyśleniu każdego niemal „wejścia” instrumentów, każdej ich frazy. Osiągnięta dzięki temu równowaga obu koncertujących instrumentów dobrze świadczy o artystycznej dojrzałości solistek, które dążyły do podporządkowania swych indywidualnych (a jakie ludzkich) aspiracji na rzecz koncepcji odwrotnie możliwie jak najbardziej wiernej zamierzeniom twórcy.

Różnica pomiędzy dziełami Bacha a „Szeherazadą” Korsakowa to nie tylko różnica dzieląca dwie epoki historii muzyki. Na przestrzeni wieków zmienia się bowiem nie tylko styl muzyczny, lecz również i sposób słuchania muzyki, a — co za tym idzie — także i typ słuchacza. W naszej epoce słuchacz zwraca uwagę przede wszystkim na współbrzmienie dźwięków. Dawniej zaś, w XVIII wieku, słuchacze śledzili w głównej mierze przebieg poszczególnych linii tematycznych utworu muzycznego. Nasz dzisiejszy sposób słuchania muzyki tak gruntownie wyparł dawny, że większość współczesnych słuchaczy słucha dawnej muzyki, napisanej „horyzontalnie”, w sposób „wertikalny”, tj. dostrzega w niej głównie współbrzmienie dźwięków. Ten sposób słuchania, dla nas zupełnie oczywisty i jedynie zrozumiały, był najzupełniej obcy epoce powstawania wielkich dzieł polifonicznych Bacha czy Haendla.

Pod względem muzycznego stylu Korsakow stoi na antypodach Bacha. Imię autora „Szeherazady” zrosło się nieodłącznie z pojęciem orkiestralnej barwy i dążenia do barwności dźwięku. Korsakow, mistrz instrumentacji, potrafi każdy, najbardziej nawet banalny temat przyoblec w fascynujący kształt niecodziennego piękna. Urok jego dzieł powiększa jeszcze tak częsty u niego koloryt baśniowej egzotyki — muzyka „Szeherazady” oddaje całe piękno świata baśni zaklętego w niestające się nigdy opowiadania z „Tysiąca i jednej nocy”.

Nie sądzmy jednak, że ów konsekwentny nowator, przywódca młodoruskiej szkoły kompozytorów mógł wyrosnąć zupełnie poza klasyczną tradycję. Biografowie Rimskij-Korsakowa przekazali nam ciekawą wiadomość: ten oficer marynarki, będący równocześnie muzykiem (a w dodatku — w wieku 27 lat! — profesorem instrumentacji petersburskiego konserwatorium), chcąc zgłębić technikę kompozycji, przez cały rok pisał codziennie nową fugę...

Jak najdalszy od idei kontynuacji stylu wielkich klasyków, uważał — nie pierwszy i nie ostatni! — opanowanie przekazanych przez tradycję form za niezawodny środek wiodący do pełnego opanowania muzycznego rzemiosła. Czesław Krzewski

## TURCJA - NOWA KOLONIA

(Dokończenie ze str. 8)

przeszkoleniu są niezłymi, a przede wszystkim tanimi żołnierzami.

Dostarczone samochody, czołgi i samoloty nie mogły być jednak natychmiast użyte w wojsku tureckim. Okazało się bowiem, że wyszkolenie techniczne nie istnieje, że żołnierz analfabeta nie nadaje się do obsługi nowoczesnego, zmotoryzowanego sprzętu, a słabo wyszkoleni podoficerowie nie mogą być instruktorami i organizatorami zmotoryzowanych oddziałów wojskowych.

Jeśli do tego dodamy zacofanie i niesłychany biurokracizm wojskowej administracji tureckiej, to domyślać się można, ile dostarczonego przez Amerykanów sprzętu uległo zniszczeniu, uszkodzeniu, wreszcie zestarzało się nim zrotali oni uporządkować magazyny.

Fatalny stan wojska tureckiego zmusił Amerykanów do wysyłania do Anatolii i Bosforu dużej ilości instruktorów a przede wszystkim mechaników, celem ratowania i konserwowania sprzętu i tak już zużytego i nie pierwszej jakości. Ostatecznie udało się zorganizować 9 szkół technicznych dla wojska lądowego i 7 dla lotnictwa oraz dokonać reorganizacji przestarzałej Akademii Morskiej.

## BAZY LOTNICZE I MORSKIE

**R**EORGANIZUJĄC wojsko tureckie, Amerykanie nie zapomnieli jednak o własnych celach, które sprowadziły ich do tego kraju, tj. o wykorzystaniu go jako bazy wypadkowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i państwu z nim sprzymierzonym.

Zorganizowali więc bazy lotnicze w Brussie, Adanie, Balikesir i Essenbo, a w Stambule Usmir i Aleksandrecie założyli bazy morskie. Cielży jednak musiała zapłacić Turcja za tego rodzaju przeszkolenie, gdyż nauczyciele zażądali, aby przekonani się jakie postępy uczynili ich uczniowie, wysłania brygady tureckiej na Koreę.

Jak wiadomo brygada poniosła straty, bowiem około 30% żołnierzy poległo na placu boju.

Wiadomość ta wywołała duże rozgoryczenie w narodzie tureckim. Czy jednak rząd turecki, który dziś całkowicie podporządkował się amerykańskiemu „Instruktorom”, wyciągnie z tego właściwe wnioski i potrafi obliczyć w odpowiedniej skali te straty jakie pociągnąć może za sobą jego polityka zmierzająca do wywołania konfliktu zbrojnego, należy wątpić.

W każdym razie los zaniedbanego i zacofanego kraju na pewno nie polepszy się przez rozbudowę Akademii Wojskowej i zakupy łodzi podwodnych, bombowców i czołgów, ale przez walkę z analfabetyzmem, budowę szkół, szpitali, produkcję traktorów i plugów.

Leon Dwernicki

**POPIERAJJCIE**  
Katolicki Uniwersytet  
Lubelski

## LIST DO REDAKCJI

### O PANU KOLCU, LIPIE I LEKKIEJ LITERATURZE

**O**D niejakiego czasu pojawiły się na łamach „Dziś i Jutro” felietony, ujęte w rubrykę „Wieczory pod lipą” i podpisywane przez p. Bogumiła Kolca. Otóż z felietonem jako gatunkiem pisarskim tak jest, że im bardziej „finezjyny” tytuł rubryki go cechuje i im ekscytacyjniejszym i bardziej wyszukany pseudonimem jest podpisany — tym bardziej można być pewnym, że mniej felietonowej wartości w sobie zawiera. Najsympliczniejsze w dziejach publicystyki polskiej felietony opatrzone były bezpretensjonalnym tytułem „Kronika Tygodniowa”, a podpisywane po prostu nazwiskiem albo inicjałami.

Ostatecznie jednak te polemiczne usiłowania nie wadzą nikomu i nigdy nie pomyślałbym o zajęciu się p. Kolcem w druku gdyby nie jego felieton „O tak zwanej literaturze lekkiej” („Dziś i Jutro” nr 50/316). Nie zamierzam tu — rzecz jasna — podjąć z p. Kolcem dyskusji na szerokim froncie, podając w końcu własną interpretację zagadnienia; było by to zbyt absorbujące, p. Kolce bowiem sobie nawet sprawy nie zdaje z tego w jak ważką problematykę kulturową „lekką stąpają nóżką”. Sprawa literatury rozrywkowej była w sposób zasadniczy i poważny dyskutowana po wojnie przez wszystkich niemal w Polsce, co z tych dyskusji musiało w końcu pozostać i p. Kolce z łatwością może pogłębić swą wiedzę o przedmiocie. Mnie chodzi tym razem głównie o „felietonizm” p. Kolca, jak i o jego nieodpowiedzialne sformułowania i pływające myśli w traktowaniu wziętego na warsztat zagadnienia. Tak więc:

1. Felieton, o którym mowa, wymierzony jest przeciwko literaturze Zarzyckich, Mniszkównien, Delłów, itd. Cechuje go postawa słusznego truzimu. Można i należy zwalczać, a raczej ośmieszać, ten typ literatury, nie należy jednak czynić z niej objawów jakiegoś zabójczego dla kultury niebezpieczeństwa. Nie przesadzajmy — żadnych auto-da-fé dla Zarzyckiej, bo w ten sposób pasowalibyśmy ją na przeciwnika, podczas gdy jest ona tylko symptomem, znajdującym swe odpowiedniki w każdej epoce. Nadewszystko zaś nie wolno, ale to pod żadnym pozorem, formułować w ferworze niezbyt istotnej walki,

takich zdań, jak: „Najważniejsze zaś, że owe paniusie (tzn. czytające Della, Mniszkównę, itd.) są reprezentantkami ogólnego poziomu życia umysłowego i kulturalnego naszej inteligencji. Kto z ludzi tzw. poważnych, z adwokatów, inżynierów, lekarzy orientuje się w bieżącym życiu literackim i artystycznym?” Na to niedowarzone i aroganckie pytanie mógłbym odpowiedzieć p. Kolcowi długa lista tylko mnie jednemu znanych adwokatów, inżynierów i lekarzy, było by to jednak częstokroć załatwienie sprawy, przy czym nie chciałbym dawać autorowi felietonu okazji personalnego obrażenia mądrych i przyzwoitych ludzi.

2. Idąc dalej po tej linii kolarzenia poziomu umysłowego inteligencji polskiej z literaturą najniższego kalibru p. Kolce dotyka mimochodem jednego z najpoważniejszych problemów naszej epoki i cywilizacji i rozwija go metodą ucznia trzeciej gimnazjalnej, któremu wydaje się, że zrozumiał teorię kwantów: Chodzi o zagadnienie specjalizacji i uniwersalności kultury — jedno z najtrudniejszych zagadnień współczesności. P. Kolce załatwia je od ręki; uważa on, że inteligencja polska to „żywiol naizupełniej skulturalny”, że „grzeźnie w najciaśniej pojmowanej fachowości”, dziwi się, że dentyści nie czytują u nas Szekspira, Goethego i Mickiewicza (jakby gdzie indziej tak było). Trudno się zdecydować, co tu jest osobliwsze: tupet czy naiwność, bufonada czy pozerstwo? Pragnął bym bardzo zobaczyć rumieniec zgrozy, który zarbarwił by twarz p. Kolca, gdyby się dowiedział od licznych luminarzy polskiej kultury, jakie to książki te wspomniane duchy lubią czytać w chwilach wolnych od zajęć: tegoż samego p. Kolca, który w tychże chwilach każe dentystrkom czytać Goethego i Szekspira (a nie oglądać i słuchać w teatrze, co każda niemal dentystka czywiście czyni, jeśli mieszka w mieście), mimo, jak sam dodaje: „bo coż oni (tj. Szekspir, Goethe) mogliby jej powiedzieć na temat rwania i plom bowania zębów?”. W tym właśnie leży sens wszystkiego. Rozwój nauk specjalnych przeniknął w świecie dzisiejszym bezpośrednio w zawody wyuczane i jest zarazem tak gigantyczny, że ambitna dentyst-

ka, o ile chce być w kursie swego zawodu i o ile nie zamierza kapitulować przed postępem wiedzy — musi nieustannie czytać o rwaniu zębów. Tak samo jest z inżynierem, astronomem, psychologiem i chemikiem. Znam lekarza-radiologa, jednego z najwybitniejszych specjalistów w kraju, którego życie jest piekłem — sześć godzin ze swego czternostogodzinnego dnia pracy musi on przeznaczyć na lekturę fachowych czasopism i książek po to, aby utrzymać swą intelektualną poczucie. Są to jednak bardzo trudne ujęcia problemu, zbyt trudne dla p. Kolca i dla jego wnikliwości. Dla niego doktor ów jest „klasnym fachowcem”, bo nie czytuje w niedzielę „Irydionu”, jest „polskim żywiłem akulturalnym”.

3. Na koniec zostawiłem rodzynek szczególnie charakterystyczny dla felietonowej mentalności p. Kolca, któremu pióro dosłownie wierzę po papierze. Oto jak odpowiedział na każde swe słowo p. Kolce konkretyzuje przedmiot swych ataków: „książka „do czytania”, a więc sensacyjna lub sentymentalna bujda, w najlepszym razie jakaś jednosezonowa „rewelacja”, jakies „Przemięło z wiatrem”...

Osobiście uważam „Przemięło z wiatrem” za znakomitą książkę, jedną z najwybitniejszych powieści dwudziestolecia, z czego wynika, że różniły się z p. Kolcem w naszych na nią poglądach w tak diametralny sposób, iż jeden z nas jest po prostu mówiac najogólniej: naiwny. Wobec tego, że w p. Kolcu domyślam się polonisty z wykształcenia, proponuję przeto, aby dokonał on literacko-artystycznej analizy książki Margaret Mitchell i w ten sposób dowiódł, że książka ta jest „sensacyjna, sezonowa bujda”, jak to wyraźnie napisał. Zastrzegam się tylko, że jeśli p. Kolce stanowisko swe argumentować będzie arystokratyzmem i antypostepowością autorki „Przemięło z wiatrem” to wtedy poczuje się zwolniony od dyskusji, idąc śladem prof. Konrada Górskiego, który nie chciał polemizować z oponentem, dowodzącym, iż „Sedno sprawy” to zła książka, gdyż Scobie jest z zawodu polciantem. W takim wypadku musiałbym uznać p. Kolca za teosofa, niż jego własny pseudonim.

Leopold Tyrmand

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hgmaier, Dominik Horodyski, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Relif, Jan Szwykowski

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71.880 26 Konto PKO — Nr 1 727  
Sekretarz redakcji przyjmie codziennie przez wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne  
Przenumerata miesięczna 1,80 złoty-h Kwartalnie 5,40 złotych  
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 569/A 3-B-11095